Nr. 40. Warszawa, dnia 20 Września (2 Października) 1897 r. Rok XVII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

POJEDYNEK POLITYCZNY.

Telegraf przyniósł wieść niespodziewaną: prezes ministrów przedlitawskich, Kazimierz hr. Badeni, strzelał się z posłem lewicy niemieckiej, skrajnego skrzydła, Wolfem. Ma to być pierwszy wypadek, w którym minister austryacki nietylko do rozprawy orężnej stanął, ale i sam do niej wyzwał. Powód dało mu obelżywe słowo Wolfa na pierwszem jesiennem posiedzeniu Izby deputowanych w d. 23 b. m. Niemcy, przybywszy z całym arsenałem środków, których już raz używali ze skutkiem, puścili teraz między siebie, dla rozgrzania się do walki, fałsz, że rząd w porozumieniu z prezydyum Izby wprowadził do niej piętnastu policyantów, poprzebieranych za nowo donajętych woźnych. Zapalczywszy od innych Wolf, może i nie współsprawca kłamstwa, w chwili oburzenia, przelatującego szeregi niemieckie, zwrócił się do prezesa ministrów i zawołał: „To łotrowstwo!“—według innych: „To pańskie łotrowstwo.“ Hr. Badeni na razie zaniechał burdy z zagorzalcem, ale po posiedzeniu pojechał do komendanta korpusu wiedeńskiego, barona Uexkulla, odbył z nim naradę, dobrał sobie innego jeszcze dostojnika wojskowego i z narady wypadło d. 24 z. m. postanowienie pojedynku, który odbył się nazajutrz w miejscowym maneżu jazdy, z całą surowością przepisaną dla spraw honorowych drugiego stopnia. Minister mając wybór broni i kategoryi pojedynku — sam dopomniał się rozprawy jaknajsroższej. Przeciwnik nie myślał go oszczędzać; ale wyręczył go przypadek: p. Badeni otrzymał ranę dość lekką w prawe ramię; przejeżdżał się już po Wiedniu.

Depesze z zapytaniami o zdrowie od cesarza, który *pro forma* przed pojedynkiem dał dymisyę, a po pojedynku umorzył sprawę karną, na mocy § 2 ogólnej procedury, jak objaśniają dzienniki wiedeńskie; odwiedziny ministrów poczynając od br. Gołuchowskiego; kilkaset telegramów, wyrażających współczucie, niepokój lub ciekawość; wizyta króla Karola rumuńskiego, który cesarzowi chciał osobiście donieść o zdrowiu ministra — całe to wrażenie zbiorowe, ten kłąb wrażeń, mile głaszczących miłość własną p. Badeniego — wagą i powagą swoją ustępuje przed objawami wyszłemi z łona samego sejmu. Wszystkie stronnictwa, z wyjątkiem niemieckich: konstytucyjnego, austryackiego, i poza-konstytucyjnego, bismarckowskiego, bądź w całości, bądź przez licznych przedstawicieli wyraziły p. Badeniemu swoje współczucie, a wszystkie niemal dzienniki, kierujące opinią w obozie przeciw-niemieckim, pomijając anegdotyczną postać wypadku, podniosły i czytelnikom swoim przed oczy postawiły polityczne znaczenie i doniosłość wyzwania i rozprawy na rękę. Jeden z organów czeskich nie wahał się powiedzieć, że strzał hr. Badeniego jest dla prawicy znakiem ostrzegającym o konieczności bezzwłocznego zszeregowania się przeciwko Niemcom, ze stałym programem, do jednego wspólnego celu—którym, oczywiście, może być tylko złamanie raz na zawsze gniotącej wszystkich przemocy niemieckiej. Węgrzy albo zachowali się obojętnie, albo też w osłonach ogólników ukryli specyalne swoje zadowolenie z tego, że federalizm musiał aż do pojedynku pierwszego ministra się uciec, aby stawić czoło niemieckiej natarczywości. Węgrzy trzymając z Niemcami, występują przeciwko Słowianom; federalizm w Przedlitawii jest dla nich prawie tak samo wstrętnym, jak dla Plenerów, Wolfów i Schönererów. Niemcy powodują się namiętnością, Węgrzy — rachubą polityczną.

Manifestacye sejmowe i pozasejmowe polityczny swój charakter wtłaczają w sam wypadek, w sam czyn p. Badeniego. Bez prosopopei, bez przesady i kłamstwa powiedzieć można, że pierwszy minister, ujmując się za własny honor, ujmował się za sprawę tych stronnictw, które z nim przeciwko Niemcom trzymają. Naturalny proces psychologiczny musiał otoczyć p. Badeniego, niedługotrwałą może, niewielkim jarzącą się blaskiem, ale w każdym razie aureolą osobistą, która w polityce nie jest bynajmniej czynnikiem do pogardzenia, jeśli go się na gorąco a umiejętnie zażywa. Stronnictwa prawicy, osoby moralne, działające w imieniu pojedynczych krajów i narodowości przedlitawskich, są teraz miększe, podatniejsze na kierunek rządowy, skłonniejsze do umiarkowania, do ścierania ostrości i szorstkości w żądaniach, do silniejszego zwarcia się i pomiędzy sobą i z rządem. Większość federalistyczna — że ją tak nazwiemy — w Izbie deputowanych jest tak słaba, tak małą ma nad przeciwnikami przewagę, iż chociażby strzał hr. Badeniego dał jej tylko skuteczne hasło jaknajwiększej karności, nie możnaby mu było odmówić politycznego znaczenia. Zdaje się, że teraz właśnie rozsądek polityczny powinien-by wymódz na przywiązaniu do bezwzględnej swobody słowa i obawie o nietykalność prawodawców — owo obostrzenie regulaminu, na które dotychczas prawica przystać nie chciała, a bez którego chyba tylko zamach na prawo publiczne, jednostronna wola władzy wykonawczej, rządzenie bez sejmu—stan niekonstytucyjny położyć zdoła kres obstrukcyi niemieckiej. Liczyć na to, że i dla Niemców pojedynek ze swemi manifestacyami następczemi był ciosem otrzeźwiającym — byłoby lekkomyślnością. Spodziewać się przetrzymania ich i znużenia można; ale w rachunek polity-

czny jako wartości wprowadzać nadziei takiej nie podobna.

Cóż więc zostaje? Nowe odroczenie? Delegacyę Izba już wybrała, ale po za tym wyborem pozostaje jeszcze mnóstwo spraw pierwszorzędnych, nieprzepartych, w konstytucyjnem życiu państwa koniecznych. Gdyby wziąć tylko ugodę z Węgrami, domagającą się tymczasowego załatwienia, o którem bez sejmu pomyśleć nawet nie można, jeśli Przedlitawia ma mieć konstytucyę; gdyby za nieodzowny uznać tylko budżet na rok przyszły: i tak już prawidłowe funkcyonowanie Izby byłoby niecodbitym warunkiem dalszego konstytucyjnego istnienia całości, pod Izbę poddanej. Dopóki mądrość polityczna nie wymyśli środków na to, żeby obowiązki, niespełniane przez władzę prawodawczą, pełniła jaka inna, wykonawcza, łączona z sądową — dopóty wszelkie warcholstwo w sejmach, tamujące ich obrady, będzie wstrzymywało zarazem i bieg całej machiny państwowej. Lada ulicznik, zaopatrzony w stopień doktora filozofii, nauk państwowych lub kameralnych, rzuci kij między koła — i sprowadzi zastój i zamęt. Dlatego pierwszym środkiem zaradczym, zasadniczo zapobiegającym — jest skrępowanie ślepej namiętności, aby we wściekliźnie swej nie kąsała zdrowego rozsądku. Osiągnąć to można tylko zapomocą regulaminu surowego, jednakowego dla wszystkich, jednakowo wszystkich kiełznającego, a przez ograniczenie wolności jednostek zapewniającego wolność zbiorowości. Cóż z tego, że się wygada Piotr i Paweł, ale ta osoba moralna, w której on ma być tylko jedną komórką, jednym nerwem — ust nawet otworzyć, woli swej wyrazić nie będzie mogła? Obawiać się o wolność, gdy się ma zaprowadzić porządek, nie powinien nikt, kto spojrzy na Anglię i jej regulamin, pozwalający odbierać głos, przecinać rozprawy, rwać gwałtownie ich pasmo: a przecież nikt Anglików o lekceważenie swobód parlamentarnych nie posądzi.

Tydzień polityczny. Izba ateńska zebrała się we czwartek dla zatwierdzenia preliminaryów pokojowych z d. 18 z. m. Odgrażano się w Atenach, że Grecya nie pozwoli narzucić sobie kontroli nad skarbem, ale dla poważnego umysłu jest to tylko przechwałka. Kontrolę uważać trzeba za konieczną i słuszną, i dla samych Greków pożyteczną.

Sułtan udaje naiwnego. Na posłuchaniu pożegnalnem ambasadorowi włoskiemu, Pansie, powiedział, że pragnie jak najprędzej postanowić coś względem Krety. Ambasador przypomniał mu postanowienie Europy. samorząd. Widać, jak daleko jeszcze do mety i jak Turcya opierać się będzie do upadłego uprawnieniu wyspy.

Aresztowanie młodoturków, chwytanie pism rewolucyjnych nie ustaje. Ambasadorowie zażądali amnestyi dla wszystkich przestępców z czasów wojny i dla dawniejszych, o ile są Grekami. Abdul Hamid nie objawił wielkiej skwapliwości.

W Austryi pojedynek hr. Badeniego d. 25 z. m wywarł wielkie wrażenie. Cesarz bawi w Peszcie, podejmując króla Karola Rumuńskiego. Cesarz Wilhelm d. 22 z. m. pożegnał stolicę węgierską. Niesłychany zapał związał jakby bezpośredniem przymierzem Węgry z Niemcami na widowni międzynarodowej przeciwko Rosyi i Francyi, na przedlitawskiej przeciwko Polakom, Czechom, Rusinom i drobnym Słowianom. Gdy na obiedzie galowym d. 22 z. m. cesarz Fr. Józef nazwał gościa swego „wiernym przyjacielem i sprzymierzeńcem,“ gość odpowiedział wspaniale stylizowaną pochwałą Węgrów, nazwał ich przywiązanie do króla momentem wybitnym; cała Europa podziela te węgierskie uczucia, a sam cesarz Wilhelm patrzy w sędziwego swego przyjaciela, jak w słońce. „Związek obu państw jest silny, nierozerwalny, zabezpiecza pokój i zabezpieczać go nie przestanie.“ Okrzyk *Eliena kiraly!* zakończył ten występ. Co też ces. Wilhelm powie sułtanowi, gdy w drodze do Palestyny zawadzi o Stambuł?

W Kroacyi, na gruncie dawnego Pogranicza, w Silnicaku i innych miejscowościach, w okolicy sięgającej pod Karlovice, wybuchły krwawe rozruchy na tle religijno-politycznem. Nie wiadomo skąd i po co zatknięto chorągiew węgierską na — cerkwi, w której jednocześnie znajdowało się czterech urzędników świeckich na jakiejś niejasnej czynności. Lud się wzburzył, urzędników wymordował, ruch swój przeniósł w sąsiedztwo — i skończyło się na tem, że rząd zagrzebski ogłosił stan oblężenia w całej okolicy. Czterdziestu przestępców przywieziono już do Zagrzebia. Wielu zbiegło do lasów i w zarośla.

Stany Zjednoczone, prędzej niż przewidywano ujęły się za Kubą. D 18 z. m. nowoprzysłany poseł, gen. Woodford, ustnie wyraził ks. Tetuanu życzenie, aby wyspa jak najprędzej uspokojoną być mogła, i w tym celu ofiarował pośrednictwo swego rządu, który w każdym razie losem Kubanów zajmować się nie przestanie. Królowa, powróciwszy d. 27 z. m. do Madrytu z S. Sebastian, odrzuci pośrednictwo, prawdopodobnie już po wybadaniu gabinetów europejskich i poznaniu ich niechęci ku przedsięwzięciu amerykańskiemu. Mc Kinley zbiera dokumenty i przedstawi je kongresowi zaraz po zebraniu się w początkach grudnia. Cesarz Wilhelm staje już na czele dyplomacyi europejskiej i rusza na Amerykanów. Musi on być wszędzie i jak nasz Ślaz na każde wezwanie woła: *Adsum*!

W Hiszpanii policya wykryła nowy związek anarchistów, nowy spisek. Karliści się krzątają i republikanie nie tracą energii. Królowa ma wkrótce postanowić względem dzisiejszego gabinetu Azcarragi.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

PROJEKT REFORMY.

Lekarz potrzebny jest na prowincyę. Wiadomość u aptekarza X, w miasteczku Y.“ Takie ogłoszenia spotykamy bardzo często w pismach. Przytem aptekarz X. i miasteczko Y. uderzają w oczy kilka razy do roku. Lekarze młodzi i sumienni, którzy dotarli do tych miasteczek i zetknęli się z owymi aptekarzami, wyjaśnili nam niejednokrotnie warunki bytu na prowincyi i przyczynę częstego ogłaszania jednej oferty. Oto lekarz ma być wspólnikiem aptekarza w prowadzeniu procederu handlowego. Ma w porozumieniu z nim pisać recepty sążniste i kosztowne, za co otrzyma pewne wygody, rodzaj tantyemy—mieszkanie i utrzymanie. Tym sposobem godząc się na spółkę, jednocześnie staje się zależnym od aptekarza, pracuje zaś razem z nim na niwie nie bardzo zaszczytnej, bo pierwszy ma na celu, drugi na sumieniu — wyzysk

---

21)

W. DOROSZEWICZ.

SACHALIN.

Pierwsze wrażenie. — Cieśnina Tatarska. — Klimat — Przyroda. — Sachalin północny, środkowy i południowy. — Droga sachalińska. — Wyspa. — Więzienie.

Było to 16-go kwietnia *).

Wiał gwałtowny, chłodny, przejmujący wiatr północno-wschodni. Stałem na pokładzie górnym i wpatrywałem się w brzegi surowe, niegościnne, skaliste, jeszcze śniegiem pokryte.

Pierwsze wrażenie było smutne, ciężkie, przygnębiające.

Jakby jakiś dziwotwór, z grzbietem pogarbionym wyciągnął się, znieruchomiał i czyha na zdobycz.

— Oto miejsce, gdzie zginęła „Kostroma“ — wskazuje mi kapitan.

Schodzę na pokład niższy.

Około iluminatorów przesuwają się twarze aresztantów.

Patrzą, wpatrują się w brzegi wyspy, na której będą musieli życie całe spędzić.

Uwagi krótkie i ponure:

— Sakalin!

— Jeszcze zima!

— Pozwól popatrzyć!

— Niema na co. Wszystko pod śniegiem.

Kołysanie wzmaga się. Płyniemy cieśniną Laperose'a.

Na lewo latarnia kryljońska. Na prawo kipią i pienią się fale, pokrywając skałę niebezpieczeństwa. Na przodzie posuwa się pas lodu. Lodowce pokrywają cały widnokrąg.

Czyż to nie gorzka ironia?!

Przewieźć ludzi prawie naokoło świata, pokazać im mimochodem kącik raju ziemskiego, piękny, kwitnący Ceylon, dać im możność „spojrzeć jednem okiem“ na Singapore, ten przepyszny, cudny, bajeczny ogród, który się rozrósł o półtora stopnia od równika, pozwolić popieścić wzrok pięknymi, malowniczymi brzegami Japonii przy wejściu do Nagasaki — brzegami, od których oczu oderwać nie można — po to, ażeby w końcu przywieźć do skalistych, surowych brzegów, pokrytych śniegiem w połowie kwietnia, do tego kraju burz, zamieci, mgieł, lodowców, wichrów — i powiedzieć:

— Mieszkajcie!

Sachalin...

„Dokoła woda, a w środku bieda“ — jak mówią skazańcy.

Wyspa—więzienie.

Jeżeli spojrzymy na mapę Azyi, to zobaczymy w prawym kącie ciągnące się wzdłuż brzegi, istotnie coś podobnego do dziwotworu z paszczą otwartą, jak gdyby chciał połknąć leżący naprzeciw Macmaj.

I ostre wcięcia kątów, i zygzakowate, łamane linie obnażonych pokładów węglowych — wszystko to świadczy, że niegdyś odbyła się tu wielka rewolucya.

Wił się grzbiet „dziwotworu,“ olbrzymiemi falami kołysała się ziemia. Fale szły z północo-wschodu na południo-zachód.

Nie darmo góry sachalińskie istotnie są podobne do ogromnych fal zastygłych, doliny zaś przypominają przepaście, otwierające się między falami podczas huraganu.

Huragan ustał. Dziwotwór uspokoił się i tylko czasem lekko drga to tu, to tam...

Wyspa odludna.

Oddzielona od lądu stałego cieśniną Tatarską, najgwałtowniejszą, najzuchwalszą i najzłośliwszą w świecie.

W zimie taka zamieć, że nic nie widać. Latem po burzach następują mgły, tak gęsto, że ledwie można dojrzeć wierzchołek masztu własnego okrętu.

W tej cieśninie oficer okrętowy musi spać dorywczo, po kwadransie, nie rozbierając się. Tutaj po ciszy nagle zrywa się burza, trwająca pięć, dziesięć minut.

Zapełna cisza — naraz świst. Trzeba zdejmować lub nawet zrywać kotwicę,

*) Autor zapewne wymienia datę starego stylu. (*Przyp. tłom.*)

publiczności. Pierwszy pożąda recept długich i obfitych z kombinacyą środków kosztownych, drugi, jeżeli ulega tym warunkom, przyciśnięty ostatecznością, czyni ustępstwa, zrazu nieśmiało i rzadko, następnie dobrowolnie z aptekarzem bierze za zasadę swej pracy. Tym sposobem wytwarza się stosunek społecznie wstrętny, wielce niemoralny. Ci lekarze, którzy się nie chcą pogodzić z tego rodzaju warunkami i nadto, nie przyjmują trzeciego wspólnika — felczera, niedługo zagrzewają miejsca, zdobyte przez ogłoszenia. Tem się tłomaczy częste powtarzanie jednej oferty w pismach.

Głównym tedy spólnikiem, działającym na niekorzyść ogółu, jest tutaj aptekarz. Jeżeli przyjrzymy się bliżej warunkom jego bytu, znajdziemy okoliczności łagodzące. Aptek prowincyonalnych w stosunku do potrzeb ludności jest mało, a jednak i ta ich liczba nieodpowiednia utrzymać się należycie nie może. Apteka bowiem obecnego typu, gdzie niema wielkiej klienteli, jest przedsięwzięciem niepewnem i kosztownem. Fachowiec, posiadacz kilku lub kilkunastu tysięcy rubli, zakłada ją w jakiejś zapadłej mieścinie i musi wszelkich środków godziwych i niegodziwych używać, ażeby chociaż skromny procent ze swoich funduszów uzbierać. Sprzedaje więc „masło komarowe“ i różne inne „leki cudowne“ ludności ciemnej, która płaci drogo za środki, żadnej wartości nieposiadające. Następnie, gdy się uda zawiązać spółkę z lekarzem, ciągnie zyski z recept kosztownych. Gdy w tym zakresie rozwinie swoją działalność i zabiegi, gdy wreszcie zdobędzie innego rodzaju klientelę — spożywców anodyn, może sobie stworzyć niezły byt materyalny.

Taki stan rzeczy jest wielce szkodliwy i dla ludności prowincyonalnej, i dla lekarza. Ludność bowiem ponosi ciężar niepotrzebny, płaci drogo za środki lecznicze nieskuteczne i za recepty długie, lekarz zaś, pisząc te recepty, zalecając środki kosztowne w takich wypadkach, w jakich nie są one niezbędne, zraża ludność ubogą do siebie. Garnie się ona do felczera lub idzie wprost do aptekarza po tłuszcze, proszki i zioła, niemające żadnego znaczenia.

Czyż niema sposobu zmiany na lepsze takich stosunków nienormalnych i szkodliwych? Naszem zdaniem — jest. Oto trzeba obecne apteki prowincyonalne przekształcić zupełnie. Są one wzorowane na aptekach wielkomiejskich, posiadają mnóstwo środków kosztownych i niepotrzebnych, które w szafkach stoją lata całe i nie przynoszą najmniejszego procentu. Tym sposobem właściciel na długo unieruchomia znaczną część swego kapitału. Gdy zaś w osadzie, wiosce lub miasteczku odległem o wiorst kilka od apteki, zdarzy się jakiś wypadek, wymagający natychmiastowego ratunku za pomocą środków prostych i niedrogich, chorzy są w fatalnem położeniu i nieraz skutkiem tego nie mogą już nigdy przyjść do zdrowia, a nawet i życie tracą. Otóż, jak rzekliśmy, należy apteki obecne zreformować zupełnie i zarazem wytworzyć całkiem nowy typ aptekarza. Przedewszystkiem trzeba usunąć środki zbyteczne, unieruchomiające kapitał, a natomiast pozostawić tylko niezbędne. Aptekę obecną należy rozczłonkować, rozproszyć ją po prowincyi w różnych miasteczkach, osadach i wsiach. Tym sposobem jeden obecny właściciel może mieć kilka filij i zwiększyć liczbę swych odbiorców, nie posiłkując się ani „środkami cudownymi,“ ani anodynami i kosztownemi receptami. Prawda, że dziś właściciel taki posługuje się jednym lub dwoma pomocnikami; rozproszywszy zaś swoją aptekę, musiałby i liczbę pracowników znacznie zwiększyć, a więc ich płaca pochłonęłaby dochód całkowity. Otóż i na to można poradzić. Jak rzekliśmy, należy wytworzyć zupełnie nowy typ farmaceuty, który byłby gospodarzem małej apteczki. Farmaceuta taki powinien zastąpić felczera, tj. umieć bańki i pijawki postawić, opatrunek zrobić, krew zatamować, zęba zatruć lub wyrwać itd. Fachowość w tych zakresach rozwinięta, powinna przynosić mu zyski osobiste. Co zaś do apteczki, może on być jej gospodarzem w charakterze komisanta, tj. pobierać powinien procent od lekarstw sprzedanych. Tym sposobem wielu farmaceutów, pozostających dziś prawie w niewoli u właścicieli przedsiębiorstw aptecznych za liche wynagrodzenie, może zdobyć stanowiska bardziej niezależne i korzystniejsze pod względem materyalnym. Pożytek stąd byłby ogromny i dla ogółu. Zyskałby on natychmiastową pomoc apteczną i lekarską w zakresie felczerskim.

Typ obecny apteki powinien pozostać w siedliskach główniejszych, tj. miastach powiatowych i osadach fabrycznych, gdzie, w razie potrzeby, można się udać z receptą bardziej skomplikowaną. Byłby to bodaj najskuteczniejszy sposób usunięcia dzisiejszego typu felczera szkodliwego. Zyskaliby na tem również i lekarze, gdyż ustałaby niekorzystna dla ogółu spółka z apteką i walka z felczerem, nieprzebierającym w środkach współzawodnictwa.

Ponieważ tak ważnej i zasadniczej reformy nie można dokonać „środkami domowymi,“ więc należałoby skorzystać ze sposobności: opracować i rozważyć tę całą sprawę na zjeździe aptekarskim, który w roku przyszłym będzie zwołany w Petersburgu. Tam właśnie najstosowniej byłoby ułożyć listę niezbędnych środków lekarskich dla projektowanych przez nas aptek drobnych. Przy sposobności należałoby usunąć anodyny, które, zwłaszcza tam, gdzie już wprowadzono monopol wódczany, zamieniły apteki na formalne szynki. Wreszcie na tymże zjeździe należałoby przedstawić program nauki dodatkowej dla farmaceutów, tj. przedmiotów, wchodzących w zakres na-

---

umykać na morze, ażeby się okręt nie rozbił o skały. Tutaj morze zdradzieckie, a brzeg — nieprzyjaciel marynarza. Tu trzeba się bać i morza i lądu.

Sachalin nie lubi, ażeby się zatrzymywano przy jego brzegach stromych, urwistych i skalistych. Na całem zachodniem pobrzeżu niema ani jednego miejsca odpowiedniego dla statków. Dno — to gładka i równa skała, gdzie podczas burzy żadna kotwica się nie utrzyma. Ile parowców w tej cieśninie poszło na dno!

Sachalin — to wyspa surowa i zimna.

Jego brzeg skalisty liże chłodny prąd północny, który niegdyś wtargnął przez cieśninę Tatarską.

Tutaj zima surowa, mroźna. Po całych tygodniach trwają zamiecie olbrzymie, zasypują domy po dachy.

Wiosna smutna, podobna do jesieni.

Lato krótkie, zimne, mgliste.

Tylko jesień jaka taka.

Dnia 20 maja przyjechałem do Onoru, odległej kolonii w samym środku wyspy; 21-go zbudziwszy się zrana, zobaczyłem jasny, prześliczny poranek zimowy.

W nocy spadł śnieg i przeszło na pół łokcia pokrył wszystko: dachy i ziemię, więzienie i kolonię. Przeleżał dwa dni i znikł dopiero 23 maja. Oto, co się zowie na Sachalinie „klimatem.“

Wijący się grzbiet „dziwotworu,“ jak igłami najeżony, pokryty gęstą tajgą sosnową.

Brzeg wysoki, urwisty, niedostępny, a po jego zboczu zygzakami idą żółte warstwy gliny, ciemno-szare węgla, białe — piaskowca, gdzieniegdzie przegląga rdza rudy żelaznej. A na wierzchu — tajga.

Jodły i sosny nagie, zupełnie pozbawione gałęzi tam, gdzie wiatr ma dostęp. Rosną tylko z jednej strony. Wierzchołki sosen wydłużyły się w kierunku wiatru, jak dym z komina na parowcu. Te drzewa olbrzymie jakby wyciągnęły ręce i usiłują uciec od brzegu strasznego, od tego surowego, zimnego morza i wiatru.

Idźmy w głąb.

Cisza martwa. Tylko połamane gałęzie chrzęszczą pod nogami. Gdy staniesz, nic nie słychać. Ani śpiewu ptaków, ani żadnych innych głosów. Przykro — jak w świątyni pustej.

Cisza tajgi sachalińskiej — to cisza świątyni opuszczonej, pod której sklepieniem nigdy się nie rozlega szept modlitwy.

Idźmy jeszcze głębiej w tę krainę wiecznego milczenia.

Oto już i światła niema. Mrok dokoła.

Jakby ogromny boabab stoi na dziesiątkach pni.

To wiatr powiązał wierzchołki sosen w jeden ogromny, pootrząsał gałęzie i szpilki. Powstał szczelny dach, po którym, zdaje się, można byłoby chodzić.

Tutaj coś pognębia, przygniata. Ciężko nawet drzewom. Tutaj są chore nawet te olbrzymy. Pnie ich pokrzywione chorobliwemi naroślami.

Taki jest obraz przyrody Sachalinu północnego.

Przed 27-miu laty chodziły tu niedźwiedzie i Gilakowie nieszczęśliwi zdziczali, pod względem umysłowym i moralnym stojący może niewiele wyżej od swoich towarzyszów w tajdze.

Nie napróżno Gilakowie wierzą, że niedźwiedzie mają taką samą duszę jak i oni, że idzie ona tak samo po śmierci do „gospodarza,“ boga tajgi, skarży się przed nim na Gilaków i gospodarz sądzi ich, jak równych; że niedźwiedź nawet „żonaty z Gilaczką!“ Do tego stopnia ci biedni mieszkańcy upatrują cechy równości duchowej między sobą a niedźwiedziem.

Teraz w tych stronach niedźwiedzi i Gilaków gdzie niegdzie rozrzucone są siedliska ludzkie, smutne, typowe sachalińskie.

Domy „dla prawa,“ zbudowano tylko po to, ażeby módz otrzymać przywileje stanu włościańskiego; opuszczone, zrujnowane.

I tutaj żadnego głosu. Wieczna cisza.

— Czy jest tam jakikolwiek żywy człowiek?

W dwu, czy trzech domach jeszcze mieszkają.

Inne — puste.

— No, cóż? Jakież tu wasze życie?

— Jakież może być życie? Utykamy się.

tychmiastowej pomocy lekarsko-felczerskiej. Przedmioty te są tak łatwe, że każdy z dzisiejszych farmaceutów po kilku miesiącach nauki i praktyki, mógłby wybornie wykazać ich znajomość na egzaminie. Reforma taka miałaby doniosłe znaczenie społeczne i dlatego projekt ten kładziemy na szalę opinii publicznej.

KRONIKA POZNAŃSKA.

Sprzedaż dóbr polskich. — Stronność sądów niemieckich. — Naganka hakatystów. — Książka p. Finka. — Wskazówki i cyfry. — Stosunek liczebny duchowieństwa do ludności. — Pociski potwarcze. — „Pochód Słowian na Zachód,“ czyli — germanizm zagrożony!— Wiązanka czynów hakatyzmu. —„Morderstwo polityczne“ w oświetleniu prasy niemieckiej i sąd przysięgłych.

Wielka własność ziemska, najsilniejsza materyalnie i mająca pretensye do przodownictwa, najsłabszą jest wobec nacisku hakatyzmu; najsłabszą oczywiście—moralnie. W tych czasach trzy dobra wielkie przeszły w obce ręce. Imiona właścicieli zasługują na publiczne ujawnienie: p. Jerzy Bilażewski sprzedał komisyi kolonizacyjnej majątek Miłosławice (pow. Węgrowiecki) 549 hektarów; p. Stanisław Chłapowski—Przylepki (pow. Sremski); hr. Sokolnicki — Kęszyce (pow. Ostrzeszowski) — obaj sprzedali osobom prywatnym. Prócz tego, komisya kolonizacyjna podobno już traktuje o nabycie wielkich dóbr ziemskich Barda w pow. Wrzesińskim i Brodowa w pow. Srodzkim. Chodzą pogłoski, że i wielu innych właścicieli ujawnia chęć sprzedaży, tłomacząc się niepomyślnym urodzajem w roku bieżącym.

Tymczasem hakatyzm tryumfuje, zbiera owoce swej działalności i coraz szerzej ją rozprzestrzenia w różnorodnych kierunkach. Dotychczas jedyną deską zbawienia, jedyną ucieczką przed nadużyciem i samowolą policyi pruskiej były sądy. Ale i te, przejęte duchem ucisku, zaczynają stronność swą w wyrokach ujawniać. Tak np. redaktorowie pism polskich i publicyści są surowo karani za tego rodzaju krytykę, jaka płazem uchodzi dziennikarzom i publicystom niemieckim. Niedawno poznańska Izba karna skazała zdolnego i poważnego ekonomistę, dr. Witolda Skarzyńskiego, na 300 marek i koszty sądowe za broszurę p. t. „Nasza sprawa,“ która powstała z niedoszłych odczytów. W książce tej dopatrzono się szykany urządzeń państwowych, tudzież obrazy ministeryum. Dodać należy, iż rzecz ta była napisana ze stanowiska naukowego; nie miała więc na celu agitacyi, nie była rakietą, budzącą tłumy z uśpienia lub odrętwienia.

Naganka hakatystów trwa nieustannie nietylko na szpaltach dzienników, lecz i w wydawnictwach książkowych. Niedawno niejaki Fink ogłosił drukiem książkę, w której z każdego wiersza bije nienawiść do nas. Twierdzi on, że ziemie, zamieszkałe przez Polaków, są rdzennie niemieckie, albo też zdobyte „pracą ludu niemieckiego.“ A więc Polacy nie mogą marzyć o zachowaniu tam bytu narodowego, powinni wyrzec się narodowości i zostać... Niemcami. Gdyby zaś nie chcieli tego uczynić dobrowolnie, należy ich zmusić. Najniebezpieczniejszym dla Niemców, zdaniem autora, jest stan średni ludności polskiej (mieszczaństwo) oraz duchowieństwo. Otóż na ziemi niemieckiej należy wytworzyć przemysł fabryczny i popierać go z funduszów hakatystów. Tym sposobem powstałaby siła do zwalczania współzawodnika nieistniejącego, gdyż przemysł fabryczny polski jest zaledwie w bardzo słabym zarodku. Ażeby utrudnić współzawodnictwo rzemieślnikom polskim z niemieckimi, pruska kasa centralna w Berlinie nie powinna udzielać kredytu polskim kasom pożyczkowym. Chcąc wszelką nić przeciąć między ludem a duchowieństwem, należy zupełnie znieść naukę religii, wykładanej po polsku w szkołach ludowych, a natomiast odpowiednie stanowiska obsadzić duchowieństwem niemieckiem. Na poparcie swych dowodzeń p. Fink zebrał następujące dane statystyczne: W państwie pruskiem jest 2,816,656 Polaków, 105,785 Mazurów i 55,539 Kaszubów, razem 2,911,950 ludności polskiej. Z tej liczby 2,551,950 katolików i 360,000 protestantów. Ciekawy jest stosunek księży do liczby mieszkańców: w W. Ks. Poznańskiem na 1,053,184 ludności polskiej przypada księży Polaków 415, Niemców 334; na Szlązku na 994,961 Polaków — pierwszych 54, drugich 1,881; w Prusiech wschodnich na 327,696 ludności polskiej — księży Polaków 14, księży Niemców 534; w Prusiech zachodnich na 339,577 — pierwszych 149, drugich 415. Taki jest stosunek do ludności katolickiej. Na 360,000 Polaków wyznania protestanckiego przypada tylko dwu pastorów polskich: jeden na Szlązku, drugi na Mazowszu. W W. Ks. Poznańskiem niema ich wcale. Cyfry powyższe chyba nie mogą poprzeć, lecz przeciwnie — obalają wnioski i żądania p. Finka. Oprócz cyfr, używa on w swojej naganoe potwarzy, zwykłej broni hakatystów. Tak np. utrzymuje, że księża polscy kierują się wskazówkami, dostarczanemi z Rzymu, że *Gazeta Ludowa* istnienie swe opiera na zapomodze z Królestwa Polskiego, że *Gazeta Olsztyńska* dostaje zasiłek z petersburskiej „kasy panslawistycznej.“ Takie oskarżenia, podawane publicznie bez żadnych skrupułów, są uważane u Niemców za uczciwe, a siewcy potwarzy, którzy z szanującego się społeczeństwa powinni być usunięci, tam są prawymi jego obywatelami. Dodajmy, że książka p. Finka jest przyozdobiona symbolem: twierdzą krzyżacką i orłem czarnym, uderzającym białego. Czy może być wymowniejsza ilustracya czynów, dążności i pragnień tego rodzaju „bojowników,“ wskrzeszających haniebne dzieje krzyżactwa?!

Nie jeden p. Fink z bramy twierdzy krzyżackiej wyruszył na Polaków. Podążył z nimi inny, z przyłbicą zamkniętą, na której wyrył napis: A. Dia (pseudonim) i pod hasłem alarmującem: „Pochód Słowian na Zachód“ (tytuł broszury) uderzył z całą siłą swej nienawiś[illegible] na wędrującą ludność polską. Woła on, iż wychodźctwo Polaków do Niemiec grozi kulturze germańskiej. Według jego obliczeń, w Westfalii przebywa około 50,000 Polaków, w Saksonii 75,409, w prowincyach nadreńskich 33,700, w Berlinie 60,000, w księztwie Anhalckiem, Hamburgu, Hanowerze po 5,000. Ta rzesza ubogich robotników polskich, wypartych przez ucisk niemiecki ze stron rodzinnych, zagraża germanizmowi w jego rdzennych prowincyach!

Naganka hakatystów w prasie i broszurach potęguje ucisk w czynach. Ks.

— Czy sadzicie, siejecie cokolwiek?

— Cóż tu rośnie! Kartofle tylko, i to z trudem.

Życie pędzą tu w milczeniu, ponuro, każdy oddzielnie, zamknięty w sobie, w oczekiwaniu końca terminu osiedlenia, kiedy można będzie otrzymać przywileje stanu włościańskiego i udać się na „ląd stały.“ Dalej, dalej od tych stron smutnych. Dzwonią, jęczą dzwonki pod „dugą.“

Trójka niskich krępych, przysadzistych, lecz mocnych i wytrwałych rączych koni sachalińskich z góry na górę, z doliny w dolinę unosi nas wzdłuż wyspy na południe.

— Oto tutaj zastrzelono Kaziejewa (jeden z zabójców Arcimowiczów) — pokazuje furman. — Tutaj zamieć zasypała śniegiem kobietę z dzieckiem.. Tutaj woziłem doktora; osiedleńca zdejmowano z drzewa... Powiesił się... Tutaj w przeszłym roku zarznięto osiedleńca Ławrowa...

Zwykła droga sachalińska.

Obraz natury zmienia się.

Smutna północna sosna sachalińska i jodła ustępują miejsca wesołym drzewom liściastym, miękiej, delikatnej pachnącej zieleni. Gdzie niegdzie porasta cedr niewysoki.

Miejscami bieleją brzozy. Jeszcze się nie rozwinęły, ale pnie białe wyglądają wesoło, strojnie, czysto, na surowej ciemno-zielonej szacie lasu sosnowego.

Wierzba giętka, płacząca pochyliła się nad rzeczką, jakby chciała zobaczyć, co tam jest w bystrych nurtach.

W dolinach leży jeszcze śnieg, a na wzgórzach, gdzie słońce przygrzewa, już się rozwinął łopian.

Góry są więcej pochyłe, doliny szersze.

To już nie wąwozy, nie ogromne rozpadliny śród gór, lecz równiny, od których wieje przestrzenią.

I siedliska ludzkie coraz większe.

Na pytanie:—„jak się wam powodzi?“—częściej można usłyszeć odpowiedź:

— Żyjemy jakkolwiek. Lato tylko jest bardzo krótkie.

Po drodze można napotkać woły, zaprzężone do pługa.

W każdej kolonii mieszka dwu, trzech, a nawet i więcej gospodarzów dostatnich.

Jest to okrąg Tymowski — obraz Sachalinu środkowego.

Dalej zaczynają się już tundry—„trunda,“ jak nazywają mieszkańcy Sachalinu. Koła grzęzną, ledwie się poruszają w torfowisku.

Furman zsiadł i idzie, ażeby koniom było lżej.

Wleczemy się z trudem, z koni bucha para. Pachnie wrzos. Od tej woni ciężkiej, duszącej, podobnej do zapachu cyprysu, zaczyna boleć głowa.

Całe tundry pokryte tymi czerwonymi krzaczkami. Jak gdyby krew zaschła.

Tundry i tajga. I znowu żadnego głosu nie słychać. Tylko dzięcioł zastuka lub kukułka zakuka gdzieś zdala.

Smutek bolesny nurtuje w duszy. Ponuro dokoła.

Jakoś nie chce się wierzyć, że gdzieś na świecie są Włochy, niebo błękitne, słońce gorące, że jest i piosnka i śmiech... I wszystko, co się widziało dawniej, zdaje się tak odległem, jakby gdzieś było na innej planecie, zdaje się snem nieprawdopodobnym, nieziszczalnym.

Ocean, tundry i tajgi. A w tym oceanie, jak drobne wysepki — kawałki ziemi twardej. Na tych wyspach zbudowano kolonie, które tak wyglądają, jak gdyby tam ludzie spróbowali mieszkać, borykać się z trudnościami; nie dali rady i dalej poszli.

Smutne, opuszczone siedliska. Tak do Onoru.

Dalej już mokradła, trzęsawiska, gdzie zimą jeszcze jeżdżą reniferami, lecz latem już niepodobna tędy przebrnąć.

Za temi trzęsawiskami zaczyna się okrąg Korsakowski — Sachalin południowy.

Gatunki drzew liściowych różnorodne. Klimat stosunkowo łagodniejszy.

Lżej tu oddychać i przebywać.

(C. d. n.).

Laskowskiego, wikaryusza w Wieluniu (Poznańskie) landrat skazał dwukrotnie na karę 60 marek za bezpłatne udzielanie dzieciom polskim lekcyj języka polskiego. Gdy zaś skazany udał się z apelacyą do władzy wyższej, landrat natychmiast zarządził egzekucyę. A oto jeszcze wiązanka faktów, które wzbogacą dzieje ucisku. Parafianie polscy w Grudziądzu, stanowiący znaczną większość, podali do ks. biskupa Rednera w Pelplinie wniosek, ażeby nabożeństwo majowe w kościele parafialnym odbywało się po polsku. Generalny wikaryat biskupi nietylko odmówił, lecz jeszcze interesowanych obarczył ciężkim zarzutem, że „nadużywają nabożeństw do agitacyj polskich." Z powodu pobytu ks. biskupa warmińskiego w Ryjewie (pow. Sztumski, Prusy Zachodnie), przy wejściu do kościoła umieszczono między innymi napis powitalny w języku polskim. Wójt kazał go zdjąć, a gdy zarząd kościelny pozostał na to głuchym, polecił to uczynić przemocą swojemu słudze.

Gimnastykom w Inowrocławiu kazano oniemieć. Na „zlot sokołów" prezes naczelny udzielił pozwolenia tylko pod warunkami następującymi: sokoli występują bez ubiorów, służących do ćwiczeń; nie wolno robić pochodu z miasta na miejsce popisów; podczas zlotu nie będą wygłaszane przemowy. Skutkiem tego prezes sokołów, dr. Krzemiński, poprzestał na odczytaniu tego ukazu prezesa naczelnego, tudzież na słowach następujących: „Serdecznie was witamy!"

D. 24 września przed sądem przysięgłych w Grudziądzu rozstrzygnięto bardzo ciekawy proces w sprawie śmierci nauczyciela elementarnego, Grüttera. Śmierć tę pisma niemieckie nazwały morderstwem politycznem, taki też charakter usiłowano nadać procesowi. D. 31 marca r. b. w pow. Świeckim odbywały się ponowne wybory do parlamentu, podczas których stanęło przeciwko sobie dwu kandydatów: Polak i Niemiec. Ten drugi zwyciężył. Znaczna liczba wyborców ze stron dalszych, przeważnie rzemieślnicy wędrowni, wracała wieczorem pociągiem wychodzącym ze Świecia do Terespola. Śród tych pasażerów 4-ej klasy, przeważnie Polaków, znalazł się i ów nauczyciel, Grütter, z którym podrażnieni wyborcy wszczęli bójkę. Grütter, według zeznania świadków, bardzo silny, wyszedł z wagonu na platformę, z której zeskoczył, czy też spadł. Trupa znaleziono w rowie głębokim przy torze kolejowym. Według oględzin lekarskich, śmierć wynikła z uduszenia. Z wagonu jednak wyszedł on żywy, piasek zaś w krtani i na języku, oraz twarz wciśnięta w ziemię dowodzą, że nauczyciel zmarł w rowie z braku powietrza. Przed sądem stanęło sześciu oskarżonych, mularze: Józef Resmer, Antoni i Franciszek Lewandowscy, Józef Korczyński, Jan Grajewski i cieśla Ignacy Matliński. Akt oskarżenia wszystkim zarzucił, że dopuścili się zbrodni, naruszenia spokoju publicznego i pokaleczenia, które spowodowało śmierć. Nadto Resmerowi i Grajewskiemu — że byli przywódcami w tej awanturze. Po zeznaniach i odczytaniu opinii lekarskiej prokurator domagał się ukarania winnych, jako zbrodniarzy. Przysięgli uchylili zarzut naruszenia spokoju publicznego i zarzucili oskarżonym rozmyślne wspólne pokaleczenie nauczyciela, a braciom Lewandowskim przyznano okoliczności łagodzące. Sąd skazał braci Lewandowskich na miesiąc, Korczyńskiego na 6, Resmera, Matlińskiego i Grajewskiego na 8 miesięcy więzienia. Wypuszczono ich na wolność i odliczono po 4 miesiące kary na więzienie śledcze. Tak się zakończyła sprawa „morderstwa politycznego," którą prasa hakatystów długo rozdmuchiwała i podniecała swych czytelników przeciwko żywiołowi polskiemu.

et.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Pomnik Mickiewicza.

P. Godebski przedstawił komitetowi projekt, który uzyskał już zatwierdzenie władzy i odbity został w pismach ilustrowanych. Naturalnie z rysunku trudno sądzić o wartości przyszłego dzieła. To tylko widzimy, że będzie on najprostszym i — że tak powiemy — najbardziej nagim ze wszystkich większych pomników, jakie istnieją. Ani jednej płaskorzeźby, ani jednej figury dodatkowej. Zdawałoby się, że dosyć tyle skromności. Tymczasem w prasie odezwał się głos, idący jeszcze dalej w tym kierunku, bo twierdzący, że nie zależy mu nawet na dokładnej modelacyi twarzy Mickiewicza. Doprawdy trudno zgadnąć, czego taki gust chce. Czy tylko bryły marmuru, a na niej czterometrowego kawała bronzu? Ale mniejsza o takie upodobania; czy zaś p. Godebski dogodzi im i nie dołoży starań, ażeby twarz poety była możliwie podobną — zobaczymy.

Komitet, chcąc koniecznie wystawić pomnik w rocznicę urodzin Mickiewicza, przyspiesza wszelkie roboty. Ponieważ magistrat ustąpił część skweru na Krakowskiem Przedmieściu i oddał go już urzędownie, więc jeszcze przed zimą ma być rozpoczęte zakładanie fundamentów po przeniesieniu fontanny w inne miejsce. Wogóle całe przedsięwzięcie postępuje bardzo szybko — oby tylko doszło do celu szczęśliwie.

Pożądane wydawnictwo

Nauka, jak wiadomo, stanowi naszą słabą stronę, a filozofia — piętę Achillesową. Jest to bardzo dziwnem, prawie zagadkowem, że naród, którego geniusz objawił się w wielu gałęziach pracy duchowej, w tej jednej zdradza ciągłą słabość. Całą naszą filozofię można zmieścić na jednej półce szafki. W parze z brakiem odpowiednich dla niej umysłów idzie brak w społeczeństwie zajęcia się jej zagadnieniami. To też dowiódł wielkiej odwagi p. Weryho, zamierzywszy wydawać u nas organ, wyłącznie poświęcony filozofii. Wzorem znanej *Revue philosophique* pismo to nie będzie strzegło pewnego ściśle określonego kierunku, lecz równouprawni na swych kartach wszystkie. Jest to koniecznem nie tyle ze względu na korzyść umysłową czytelników, ile na możliwość zebrania potrzebnej ilości współpracowników. Pracami uczniów jednej szkoły, wyznawców jednej teoryi filozoficznej redaktor nie zdołałby zapełnić żadnego numeru. Musi on więc zwołać pospolite ruszenie wszystkich naszych filozofów, a i ono nawet z trudnością stworzy zastęp pożądany. Naturalnie życzymy śmiałemu przedsięwzięciu jak najszerszego powodzenia. Może pod wpływem tego wydawnictwa rozwiną się nowe siły piśmiennicze i obudzą się nowe potrzeby umysłowe śród ogółu.

Literatura przed sądem.

P. Śnieżko-Zapolska, która lubi dochodzić swych pretensyj literackich przed sądem, pozwała jednego z dyrektorów teatru prywatnego o wyzyskanie jej komedyi „Małka Szwarcenkopf" wbrew umowie. Mianowicie nabywszy tę sztukę „na sezon letni," przedstawił on ją — uzyskawszy pozwolenie władzy — po 13 września, która to data—według autorki — ma być kresem „sezonu letniego," a nadto przedstawiał ją nie na jednej swej scenie, ale na dwu. Stąd pretensya o wynagrodzenie szkód i strat, żądanie natychmiastowego zabezpieczenia itd. — słowem ostry proces. Jednocześnie ktoś inny wystąpił znowu ze skargą przeciwko p. Zapolskiej o udział w zyskach za „dorobienie żargonu żydowskiego" w sztuce i uzyskał przychylny wyrok. Z tego wszystkiego powstała wrzawa, która przeniosła się do prasy, wzajemne oskarżenia, wyrzuty itd. — krótko mówiąc, skandalik. Nie rozpoznając tej sprawy, która niech się tam rozstrzygnie, gdzie zajechała, stwierdzimy tylko fakt, iż literatura ani takich krzyków, ani takich procesów nie lubi i że one ją kompromitują. Jeżeli zaś są wypadki, które wykazują potrzebę zaprowadzenia w jej dziedzinie stałych sądów honorowych, to niezawodnie należy do nich obecne zajście. Gdyby taki trybunał sumienia istniał, nie mielibyśmy całej tej przykrej awantury, która może smakowałaby Paryżowi, ale w parafiańskim guście Warszawy wstręt budzi.

Antoni Ślósarski.

Przed dwoma tygodniami zmarł w Warszawie wydawca *Wszechświata*, gruntowny znawca fauny krajowej, autor wielu rozpraw z tej dziedziny i pedagog — Antoni Ślósarski. Ponieważ pole jego pracy, bardzo drobiazgowej, leżało po za granicami wiedzy ogólnej, dla każdego ukształconego człowieka dostępnej, którą zajmuje się *Prawda*, więc nie mogliśmy rozbierać naukowych zasług nieboszczyka, pozostawiając ten obowiązek pismom specyalnym. Obecnie odbieramy od osoby poważnej list, podnoszący społeczną i moralną wartość zmarłego, co winniśmy zaznaczyć. „W epoce, w której brak mocnych charakterów — powiada nasz korespondent — albo kiedy nawet te charaktery kurzą się, zanieczyszczają i smolą w pyle życia, w ustępstwach od praw sumienia, w kuźniach karyery, Ślósarski stanowił zaszczytny wyjątek i godny naśladowania przykład. Nikt tego nie pamięta, ażeby on w walce o byt powalił i podeptał współzawodnika, ale wielu pamięta, że słabszym pomagał a upadających podnosił. Był szczerze życzliwym dla ludzi, czcił naukę, kochał głęboko swoje społeczeństwo. Była to natura z gruntu dobra i szlachetna. Rzec można, że nie posiadał prawie żadnego talentu, nawet pedagogicznego, ale posiadał tyle rzetelnej wiedzy, tyle gorącej chęci przelania jej w innych, tyle wytrwania w pracy, że tymi przymiotami sowicie wynagradzał brak innych."

Z pustego w próżne.

Prasa warszawska od kilku miesięcy z nadzwyczajną skwapliwością bądź powtarza głosy dzienników rosyjskich w sprawie polskiej, bądź prowadzi z nimi spory. Nie mielibyśmy nic przeciwko temu, gdyby cała ta robota nie była z obu stron młóceniem pustej słomy i przelewaniem z pustego w próżne. Zarówno miłosne duety, jak polemiczne utarczki nie dotyczą wcale żadnych ściśle określonych faktów, stosunków, żądań, lecz splatają się z frazesów, frazesów i frazesów. Są to rozprawy niemal szkolno-ćwiczeniowe na tematy: przyjaźni i nieprzyjaźni, ufności i nieufności, wiary i niewiary, etnologii, etnografii, historyi, statystyki itd. Patrząc na to widowisko, zdaje nam się, że gromada ludzi siedzi w omnibusie pod wysoką górą i kłóci się zawzięcie, kto ma zająć miejsce w środku, kto w kabryolecie, kto na koźle, kto kierować końmi, które stanęły i skubią sobie przydrożną trawę, skręcając do rowu. Nie będziemy dawali nauk prasie rosyjskiej, ale zwró-

cimy uwagę naszej, że ona zupełnie pomija organ, na który głównie, jeżeli nie wyłącznie baczyć powinna i który jedynie może jej dostarczyć materyału do poważnych rozmyślań, mianowicie — *Prawitielstwiennyj Wiestnik.* Dopóki on w jakiejkolwiek, a więc i w tej sprawie milczy, niema poprostu o czem gadać, jeżeli się nie chce naśladować plotkujących kumoszek lub zaściankowych dyplomatów, a w każdym razie ludzi, którzy — według przysłowia niemieckiego — „załatwiają rachunki bez gospodarza.“ Kto chce być bodaj dziennikarskim polityk iem, powinien przedewszystkiem nauczyć się rozróżniania czynników silnych od bezwładnych, wpływowych od niewpływowych, działających od rojących. Powtarzanie z nabożnym zachwytem lub dramatyczną zgrozą jakiegoś publicystycznego frazesu dowodzi tylko wielkiej niedojrzałości sądu. Niepotrzeba wcale szukać daleko dowodów, dość obserwować życie codzienne, ażeby się przekonać, że ono idzie swoją drogą, a frazesy swoją. Westchnienia podróżnych nie oddziaływają słabiej na szybkość i kierunek statku płynącego po oceanie, niż słowa gazeciarskie na bieg nawy państwowej. A więc zaprzestańmy przelewać z pustego w próżne, dopóki na napełnienie naczyń nie dostarczy materyału... *Prawit. Wiestnik.*

Nie wolno chorować!

Ludziom pracującym nie wolno chorować z wielu względów. Przedewszystkiem dlatego, że choroba jest ruiną materyalną całej rodziny; że w takich wypadkach, gdy pracownik nie sprzedaje swych sił i zdolności na warunkach pensyi stałej, choroba odbiera zarobek, a nadto wszelkie oszczędności pochłaniają lekarstwa i lekarze. Ale nie na tem koniec. Ludziom pracującym nie wolno chorować, bo zarobkodawcy za to się gniewają, a gdy choroba przekroczy normę czasu, po za którą kończy się pobłażanie, pracownikowi grozi utrata kawałka chleba. Choroba tedy dla warstw pracujących jest zbytkiem, prowadzącym do zguby; a jak dalece jest zbytkiem, świadczy okólnik zarządu kolei Łódzkiej, przysłany lekarzom tej drogi. Oto zaleca on im, ażeby chorym pracownikom zapisywali lekarstwa proste, a wody mineralne — tylko sztuczne!

Na taki cynizm pozwalają sobie zgarniacze dywidendy!

Bezprawie pod osłoną prawa.

Już pisaliśmy przed kilku miesiącami o pociąganiu przez magistrat warszawski do odpowiedzialności lokatorów za długi właścicieli domów. Przepisy te są ciągle dotąd stosowane z całą bezwzględnością. Według tego prawa, lokator, jego cały majątek i dochody są *rzeczą* właściciela domu, bo za jego zaległe podatki podymne i miejskie lokator może być opieczętowany i zlicytowany. Przepisy te, jako zabytek postanowienia b. Rady zarządzającej Królestwa Polskiego, z 13 lipca 1858 r., których wstydzić się powinno wszelkie prawodawstwo współczesne, mają moc obowiązującą, a co gorsza, są dowolnie stosowane przez poborców podatkowych, którzy poprostu gwałtu się dopuszczają na lokatorach. Nie uwzględniają umowy między lokatorem a właścicielem domu. Jeżeli np. pierwszy płaci komorne z dołu, oni każą wnosić z góry pod groźbą kary. Tym sposobem lokator, po wniesieniu należności za jeden miesiąc, naraz w tydzień otrzymuje wezwanie do zapłaty za drugi. Nadto, chociażby mieszkał o kilka wiorst od magistratu, musi tam wnosić pieniądze, być sługą tej instytucyi, która jest właściwie stworzona na usługi publiczności. Jeżeli zniesienie tych przepisów pociąga za sobą pewne trudności i formalności, to niechże one będą przynajmniej stosowane oględnie i rozważnie. Niech magistrat, skoro nie może ufać poborcom obecnym, powoła innych, którzy zasługiwaliby na zaufanie, niech im poruczy obowiązek inkasowania należności w domu u lokatorów, niech im zakaże posługiwania się samowolą i bezprawiem pod osłoną prawa.

O czystość mowy.

P. Post w *Gazecie Polskiej* zwrócił uwagę na nasz artykuł o czystości mowy, ale jednocześnie nie potrafił stłumić szczęku... własnych nożyc. Oburzony na nasze zarzuty, czynione pismom codziennym, twierdzi, że nikt nie jest bez grzechu, że i w odcinku *Prawdy* można znaleźć sporo rusycyzmów. Istotnie, nikt z nas nie jest bez grzechu i dlatego uczymy się całe życie i chętnie przyjęlibyśmy wskazówki nawet od p. Posta, gdyby ten był cokolwiek... sumienniejszym. Chcąc błędy wytykać, trzeba przedewszystkiem nauczyć się... czytać. P. Post nazywa powieścią szkice p. t. „Na Sachalin,“ a ich autora, znanego wybitnie publicystę, Doroszewicza — Doroszenką! Chyba takie traktowanie obowiązków dziennikarskich wystarcza, ażeby p. Posta zmierzyć odpowiednią miarą. Wiadomo powszechnie, że niektórzy z naszych „znawców“ językowych pod miano rusycyzmu podciągają to, co nie jest rusycyzmem. Pamiętamy, iż od jednego z tych panów purystów ktoś dostał chłostę za używanie wyrazów: *doma* i *ostatni*. Właściwie chłosta owa spadła pośrednio na biedaka... Kochanowskiego *za rusycyzmy*, bo oto jak on pisze:

> Jakoby *doma* sprawiedliwość była,
> A na granicach gotowość i siła.
> (Ks. III, str. 113, wyd. 1803 r.).

albo:

> Nie wierz fortunie, co widzisz wysoko,
> Miej na *poślednie* koła pilne oko.
> (Ks. I, str. 9).

Nie wiemy, co p. Post nazywa rusycyzmami w naszym odcinku, więc nie możemy ani się poprawić, ani usprawiedliwić z tych grzechów, które dostrzegł, nie czytając. Bądź co bądź, jesteśmy mu wdzięczni i odpłacamy się radą, ażeby staranniej przeglądał swoje artykuły. Tym sposobem uniknie takich wyrażeń, jak „dziennik codzienny“ (to samo, co masło maślane).

LITERATURA I SZTUKA.

KORNEL UJEJSKI

(WSPOMNIENIE POZGONNE).

> A mnie się wydaje w mej wzgardzie a dumie,
> Żem z bożych śpiewaków ostatni.

Niewątpliwie ostatni — z „bożych śpiewaków“ wiary, nadziei i miłości. Jakkolwiek wszyscy nasi romantycy występowali w charakterze kapłanów i wieszczów, Ujejski przyswoił go sobie najbardziej. Jego główne utwory: „Skargi Jeremiego“ i „Melodye biblijne“ są bądź przeróbką motywów, bądź naśladowaniem tonu proroków Izraela. Sam on tak posłannictwo swoje pojmował:

> Niechaj jak prorok przed bożym narodem
> Z sztandarem wiary postępuję przodem.

W innem miejscu woła do Jeremiasza:

> Proroku, duch twój niech do mnie zagada,
> Bo ból okręcił mnie ogniową szarfą
> I na twarz padam razem z twoją harfą!

Wierzy on i zapewnia ustawicznie, że nie śpiewa w literaturze jako słowik, pieszczący uszy narodu uroczemi pieśniami, lecz ma moc sięgnięcia swym głosem do nieba i wstrząśnienia ziemią.

> Jabym palące chciał czoło bliźnie
> Osłonić cieniem i chłodem,
> Usta maczane w klątwy truciźnie
> Osłodzić owocu miodem.
> Jabym chciał w mroźnej trętwiącej zimie,
> Kiedy im serce oskrzepłe
> Snem letargicznym, gnuśnym zadrzymie,
> Wybuchnąć w płomyki ciepła.
> Jabym zaświecić chciał im pochodnią
> Między spodleniem a zbrodnią.
> Jabym chciał błysnąć ogniowym ciosem
> W ręku anioła mściciela.
> Jabym się spalić chciał nawet stosem,
> Byleby z moim popiołem
> Na zmazę winy runęły społem
> Popioły odkupiciela.

Był to więc przedewszystkiem liryk. Chociaż zajmuje on się ciągle nieszczęściami lub też grzechami narodu, nie daje mu żadnych określonych rad, nie wskazuje żadnych ściśle wytkniętych dróg, jego rozum nie odzywa się wcale, tylko uczucie płacze lub cieszy się, przeklina lub błogosławi. Inaczej być nie mogło. Gdyby Ujejski wdał się w jakiekolwiek rozważania praktyczne, chociażby w formę poetyczną ujęte, wyszedłby ze swej roli natchnionego wieszcza i namaszczonego kapłana, który może bezpośrednio zwracać się do Boga. Wszakże Bóg wie, co się stało — po co szczegółowo opowiadać? On wie również, jak zło naprawić — po co radzić? Więc elegista wypowiada swe smutki, boleści i nadzieje w wyrazach ogólnych, ale zupełnie zrozumiałych tam, gdzie żadna tajemnica cienia swego nie rzuca. „Skargi Jeremiego,“ „Melodye biblijne“ i wiele innych wierszy tego rodzaju — są to modlitwy, które poeta pisze klęcząc, z oczami wzniesionemi ku niebu, są to pobożne jęki i błagania. Nie ma w nich ani śladu tej zuchwałości, która tak potężnie grzmi w improwizacyi Konrada, a natomiast wszędzie pokora sługi lub syna, który usiłuje wzruszyć Pana i Ojca. Nawet wtedy, kiedy Jeremi-Ujejski

> ...mieczem bijąc w lutnię ćwiczoną na mistrzach,
> Łunami obleczony i dymem obwiany,
> Uderzył w hym, jak jego serce potargany,

zakończył swą pieśń akordem wiary i skruchy. Zachowuje on wobec ludzi majestat proroków i dumę Mojżesza, ale ściera się na proch wobec Boga.

Liryka, połączona z głęboką kapłańsko-proroczą religijnością — oto dwie główne struny liry Ujejskiego, śród których on umieścił jeszcze jedną i tak o niej się wyraził:

> A druga struna wiąże się do strzechy
> Tych biednych sierot, co w zniewadze giną,
> I tam opieśnia ich żal bez pociechy
> I te łzy krwawe, co przez nasze grzechy
> Przez tyle wieków nieotarte płyną,
> Że zbrodnią już jest to, co było winą.

Literatura polska nie ma pomiędzy mistrzami poetów demokratycznych, orędowników ludu. Ujejski nosi ten tytuł; ale jak rzadko pod jego ręką brzmiała owa „druga struna,“ dowodzi to, że na niej wygrał zaledwie kilka pieśni (np. „Zawiana chata,“ „Za służbą“ itd.). Nie włączamy do tej wiązanki utworów, które przed kilkunastu laty napisał *dla ludu* („Ptasie gniazdo,“ „Grzela“), gdyż tu nie wyrażał swoich przekonań społecznych, lecz usiłował — chociaż czynił to nieumiejętnie — uczyć prostaczków. Wszakże mimo tych nielicznych i nie dość wymownych objawów artystycznych miłości dla ludu, pozostaje faktem, że Ujejski był demokratą, kochał lud i pod tym względem zasługuje śród poetów naszych na zaszczytne wyróżnienie. Wiemy o tem — oprócz wzmiankowanych wierszy — z jego poglądów na pamiętny wybuch ludowy w Galicyi, z jego odezwań się przygodnych, z jego przemówień poselskich itd. Jest to tem bardziej godnem uwagi, że z pochodzenia i stanowiska społecznego należał do sfery, której nie przenikają prądy demokra-

tyczne. Myśląc nawet o śmierci, pragnął, ażeby go pochowano na „Błoniach medyckich," na łące, gdzie lud zbiera się na zabawę.

I niech mnie niosą w pole stroskani wieśniacy,
Jak swego towarzysza, co omdlał przy pracy.

Nie na „Błoniach medyckich," ale na cmentarzu wiejskim kazał się pochować ostatnią swoją wolą.

Rzeczywiście, ta liryka, która wylewała się głównie w pieśniach Ujejskiego, po nim aż dotąd nie miała równego mu piewcy. Inne wszakże tematy, które pobudzały jego natchnienie, były przez następców przerabiane bądź z takim samym, bądź z wyższym artyzmem. Nawet cudowna forma jego wierszy nie pozostała wyłączną własnością autora „Melodyj biblijnych." Takie śpiewne rytmy i rymy, jakich on używał, ułoży dziś niejeden poeta niższego rzędu. Dlaczegoż jednak zaliczamy Ujejskiego do mistrzów naszego Parnasu i dotąd czytamy go z podziwem i zachwytem?

Jest w poezyi jeden pierwiastek, którego niepodobna ani niczem zastąpić, ani wyrobić w sobie sztucznie, mianowicie: głębokie i szczere uczucie. Można wiązać z sobą najwznioślejsze frazesy, najkunsztowniej zestawione *jamby*, *daktyle* i *amfibrachy*, najtkliwsze lub najgroźniejsze wybryki, można chwalić Boga, rozczulać się nad chłopem — a mimo to ogółu nie wzruszyć i nie być wielkim poetą. Parnas nie zna aktorów, a najznakomitsze udawanie go nie złudzi. Otóż Ujejski był gorącem sercem, co czuł — czuł głęboko i wypowiadał szczerze. Wielu dzisiejszych pisarzów umiałoby lepiej, ozdobniej, silniej wyrazić swoje żale, niż elegiści biblijni, a przecież nie wywarliby na nas tego, co oni, wrażenia. Podobnież niejeden poeta dzisiejszy rozwinąłby artystyczniej wątki utworów Ujejskiego, ale nie osiągnąłby tego efektu, gdyby tak nie czuł, jak on. Stąd właśnie wypływa chwała i sława wieszczów, w tem tkwi klucz do dziwnej zagadki, czemu oni pozostają wielkimi, chociaż następcy przewyższą ich w kunszcie pisarskim.

Muza Ujejskiego narodziła się w ogniu i wchłonęła w siebie żary swej epoki. Gdyby jego gorące słowa dziś były rzucone, padałyby w chłodną falę obecnego życia jak rozpalone rakiety w wodę. To też był on jeszcze poetą pewnych żywiołów naszego czasu, ale nie był już poetą warstw nadających charakter i nastrój społeczeństwu. O nich on mówił:

Jeśli się skruszą, to sercem niecałem,
Jeśli się zerwą, to krótkim zapałem.
Niezdolni wznieść się do żadnej ofiary
Popchnięci, w przyszłość idą — lecz bez wiary.
Słabe to duchy! Marne samoluby!
Syny to ciała, frymarki, rachuby!
U nich to wielkie, co stoi przed twarzą,
To tylko ciężkie, co na dłoni zważą.

Od lat wielu Ujejski, osnuwszy się wspomnieniami przeszłości w wiejskiem zaciszu, nie brał udziału w literaturze, a przynajmniej takiego, któryby odpowiadał okresowi jego chwały. Umarł 74-letnim starcem.

I doprawdy ziściło się to, czego pragnął:

Niech ta ziemia kochana, ta ziemia rodzona
Padnie na moje piersi niby rozżalona,
Ona miłującego ciężko nie przytłoczy,
Miękka jak dłoń matczyna przyciśnie mi oczy.

Tak go utuliła do snu wiecznego. W literaturze pozostał po nim wielki, z czystego metalu odlany, poważnie brzmiący, uroczysty dzwon.

H.—

SAMOTNI.

Barany i owce spoglądają na siebie prawdopodobnie, jako na szczyt, na koronę stworzenia: niema nic piękniejszego nad ich otyłość i nad ich miękie uczucia. Tak samo człowiek ze stada wyobraził sobie, że jest czemś w rodzaju *nec plus ultra*, a samotność geniusza ogłosił za objaw choroby i zwyrodnienia. W takim razie tygrysy i lwy musiałyby być uważane także za istoty chorowite i zwyrodniałe.

Samotność nie jest *przyczyną* twórczości, lecz *warunkiem*, tj. odtworzeniem tej atmosfery duchowej, w której żyli niegdyś przodkowie oddaleni geniusza i po za którą on czuje się zupełnie nie swój. Inaczej mówiąc, samotność jest atmosferą *normalną* geniusza, w której kwiaty jego duszy mogą dopiero się rozwinąć i rozkwitnąć. Tak samo dla barana atmosferą normalną jest stado: tylko w niej jego dusza może żyć i rozwijać się zdrowo. Dusza geniusza zamyka się w tłumie, jak mimoza za dotknięciem obcego ciała, dusza innych ludzi dopiero w tłumie rozwiera swe liście, jak sałata rozczochrana, rosnąca grzędami.

Ale w psychologii ludzkiej niema żadnych trafów i wszystko związane jest żelaznym systemem. Samotność geniusza, odziedziczona po przodkach, idzie nierozdzielnie w parze z egoizmem. Są geniusze dobrzy— niewątpliwie, ale to bynajmniej naszej teoryi nie obala. Dobroć ta objaśnia się jednym z następujących trzech wypadków, albo też ich połączeniem:

1) Geniusz w formie czystej nigdzie już prawie nie istnieje; występuje on w rzeczywistości zawsze jako mieszaniec wyższego typu egoistyczno-samotnego z niższym stadnym i dobrym. Uczucia nasze są tylko funkcyą naszego ciała. Organy geniusza mogą mieć różne pochodzenie rasowe i to objaśnia rozmaitość, sprzeczność, często rozdarcie jego uczuć — jedne z nich są altruistyczne, inne tchną dumą i samolubstwem. Gdyby nawet geniusz zawsze występował w takiem połączeniu, toby wcale nie zmieniało naszego poglądu nań, jako drapieżnego samotnika. Tak żelazo nie występuje nigdy w przyrodzie w formie czystej, to jednak nie przeszkadza chemikom przyznawać istnienia żelaza jako pierwiastku.

2) To, co przyjmujemy za miłość geniusza, bywa często tylko spotęgowaniem zamaskowanego egoizmu, który w miarę zadowolenia może przybierać wszystkie formy pobłażliwości, dobroci, miłości i nawet poświęcenia. Psycholog jednak nigdy na pochodzeniu i istocie tych uczuć oszukiwać się nie będzie. Lew dobrze najedzony jest pobłażliwy i wspaniałomyślny — on pozwoli wówczas nawet drobnej myszy skakać po swej grzywie — ale bieda temu, ktoby stąd chciał wyprowadzać wnioski o dobroci lwa głodnego.

Miłość geniusza bywa często tylko pośrednim przejawem zadowolonej ambicyi. Lermontow, jeden z genialnych poetów naszego wieku, czyni nieświadomo wyznanie, które rzuca jaskrawe światło na tę dobroć. „Ambicya nie jest niczem innem, jak żądzą władzy, a największą dla mnie rozkoszą jest poddawać mej woli wszystko, co mnie otacza. Wzbudzać ku sobie uczucia miłości, oddania i strachu— czy to nie jest pierwszym znakiem i największym tryumfem władzy?.. Co to jest szczęście? Zadowolona duma. Gdybym uważał siebie za najlepszego, najpotężniejszego z pomiędzy ludzi, byłbym szczęśliwy; gdyby wszyscy mnie kochali, znalazłbym w sobie nieskończone źródła miłości."

Oto psychologia altruizmu geniusza w całem jego obnażeniu. Można wykazać to właśnie pochodzenie uczucia miłości do bliźnich — o ile ono nie jest zjawiskiem czysto patologicznem, o czem mowa niżej — we wszystkich geniuszach bez wyjątku. Weźmy dla przykładu „Improwizacyę" Mickiewicza.

„Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia,
Przycisnąłem tu, do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec:
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić. ."

. . . .

„Tylko ludzie skazitelni
Marni, ale nieśmiertelni
Nie służą mi, nie znają...

. . . .

„Chcę czuciem rządzić, które jest we mnie!
Rządzić, jak Ty, wszystkimi zawsze i tajemnie!
Co ja zechcę, niech wnet zgadną,
Spełnią, tem się uszczęśliwią:
A jeżeli się sprzeciwią,
Niechaj cierpią i przepadną!"

Jak po dźwięku rozpoznajemy czyste złoto, tak po tych wspaniałych wybuchach egoizmu poznajemy, że mamy do czynienia z istotnym geniuszem, pełnym zdrowia i siły twórczej, z prawdziwym wodzem, który przy życiu, czy po śmierci wzbudza w naszych duszach wszystkie uczucia uwielbienia. Natura wszczepiła w nas te uczucia, gdyż one niezbędne są dla zdrowia, trwałości i rozwoju społeczeństw. Bez geniuszów wyższa synteza biologiczna, estetyczna i umysłowa nie może mieć miejsca *) — cóż więc dziwnego, iż nieraz odnajdujemy w piersi uczucie uwielbienia ku nim? Złożyła je natura drogą odwiecznych doborów, mających dobro społeczne na celu.

Nie oszukujmy się wszakże: *ta* miłość geniuszów ku nam nie ma nic wspólnego z istotnym altruizmem chrześciańskim. Moralność wymaga, abyśmy kochali bliźnich, jak siebie samych, tj. na równych zupełnie warunkach, bo *kochać* ich wówczas, gdy oni nas mają *uwielbiać*, to jest szczyt egoizmu. Inaczej mówiąc, w stosunkach zdrowych sympatyi między tłumem i geniuszem natura zachowuje absolutnie te samo natężenie egoizmów, te same stosunki panowania i posłuszeństwa, które widzimy między nimi w stosunkach antypatyi. Prawa mechaniki moralnej są nieubłagane i różnice rasowe w żaden sposób wyrównać się nie mogą — dodajmy od siebie: i nie powinny, gdyż tylko przy tych warunkach trwałość geniusza i maximum użyteczności społecznej są zapewnione. I tylko takie stosunki sympatyi między geniuszem a tłumem mogą być uznane za normalne, zdrowe i pożądane.

Ale ta równowaga uczuć, która jest w naturze rzeczy, ubliża dumie tłumu, on chce czegoś zupełnie innego: on chce sympatyi na równych warunkach, albo nawet poświęcenia ze strony geniusza. Ponieważ tłum jest liczny i dobrze uorganizowany, więc tego celu z łatwością dopiąć można i wówczas otrzymujemy:

Trzeci wypadek sympatyi geniusza, który jest już czysto patologiczny. Przedstawmy sobie tłum w postaci 9 osób, z których każda posiada energię życiową natężenia 10 jednostek. Z drugiej strony weźmy geniusza, którego energia życiowa przedstawia 110 takichże jednostek. Niechaj tłum powie do geniusza: „Kochajmy się! tj. połączmy razem nasze energie życiowe i podzielmy je na równe części." Jeżeli geniusz zgodzi się na to, to społeczeństwo posiadać będzie w sumie 200 jednostek energii, które podzieli na 10 równych części. Każdy jej członek posiadać będzie 20 jednostek, czyli że członkowie tłumu zyskują po 11, ale geniusz traci 900 jednostek. To jest jeszcze wypadek najlepszy, bo jeżeli tłum zażąda ze strony geniusza poświęcenia, to po podziale mo-

*) Porówn. „Geniusz i talent," *Prawda* z r. b.

że się okazać, iż członkowie tłumu posiadają po 22 jednostki energii, a gieniusz tylko 2.

Bardzo być może, iż na tym podziale dane pokolenie społeczne zyskuje, ale przyszłe niewątpliwie tracą, gdyż gieniusz przy takich warunkach oczywiście nędznieje, zwyradnia się i wymiera. A w takim razie w przyszłych pokoleniach nie będzie komu robić tej syntezy biologicznej, estetycznej i umysłowej, bez której cały mechanizm społeczny nie może funkcyonować.

Społeczeństwo jednak w swem zamiłowaniu do zasad równości postępuje, jak ów król francuski, co to woła: „Niechaj giną kolonie, byleby zasady były całe!“

(D. n.).

IDEA W SZTUCE.

Sztuka bez idei jest martwą. Wśród artystów, nie tych, którzy torują nowe drogi, lecz którzy tworzą, wpatrzeni w dzieła poprzedników lub bezwiednie naśladują to, co im otoczenie, żywe lub nieżywe, podsunie, rozpowszechnił się zdawkowy pogląd, brzmiący: sztuka dla sztuki! Nie pojmują oni, że wydają na siebie i na swoje dążności wyrok potępienia. Gdyby stało się zadość ich życzeniu, nie posunęlibyśmy się naprzód, ale zeszlibyśmy na poziom chińszczyzny, używającej wciąż tych samych środków dla wywołania jednakich zawsze i stereotypowo powtarzających się efektów. Sztuka grecka nie hołdowała tej bezmyślnej zasadzie, lecz czerpała natchnienia z życia; artyści średniowieczni tworzyli tak samo, żyli oni sztuką, ale ukochali ją tylko jako sposób wypowiedzenia ideałów swoich i wiary. Hasło sztuki, oderwanej od życia i jego cierpień, pozbawionej wiary i podkładu idejowego, zrodziło się dopiero w stuleciu obecnem, jako odtrutka klasowa. Stworzyli je i wydali sybaryci, których, prócz powabów nagiej kobiety i tajemnic, spoczywających pod listkiem figowym, niewiele rzeczy obchodziło na świecie i którzy pragnęli odsunąć od siebie wszelkie wrażenia, niesfornym zgiełkiem, brzydotą lub cierpieniem mącące spokój ich wczasów. Kielland w jednej ze swoich nowel przedstawił towarzystwo, po wykwintnej uczcie proszące kogoś, ażeby zagrał, i z góry już rozkoszujące się myślą o nowej przyjemności — łagodne, harmonijne dźwięki działają tak dodatnio, usypiająco na organizm, żądny spoczynku po połknięciu dobrze przyrządzonych darów przyrody! Muzyk siadł do fortepianu. Z pod palców jego wydobyły się potężne, lecz dziwne i przeraźliwe tony — symfonii głodnych. Goście ze złorzeczeniem opuścili salon, w którym zamiast oczekiwanej nowej przyjemności spotkało ich takie rozczarowanie... Sztuka dla sztuki, z punktu społecznego, spełnia właśnie zadanie uprzyjemniania odpoczynku i ułatwiania trawienia. W gruncie rzeczy jest ona eleganckim trefnisiem i dworuje tym, którzy odznaczają się pewną subtelnością zmysłów, lecz tylko zmysłów, i pragną doznawać tak samo delikatnych, miękich podniet. Zasada ta wydała tylko rzezańców ducha. Byłem świeżo na wystawie obrazów w Berlinie. Setki malowideł powtarzały stereotypowo ten sam temat: nic, coby silniej przemówiło do wyobraźni, coby przyspieszyło puls serca i wywołało zawrót głowy. Przyjemne wrażenia — nic nadto, wrażenia, po których zachodzi się do kawiarni, aby tam użyć innej przyjemności i zapomnieć o poprzedniej.

Proste, pozbawione nawet barw kartony Saszy Schneidera działają inaczej: gorączkują wyobraźnię, podniecają uderzenie serca, niekiedy zmuszają nas zacisnąć pięści. Dwudziestokilkoletni artysta w zatęchłą atmosferę pomysłów, obliczonych na zmysłowość mężczyzny lub obrazów, odtwarzających kawałek łączki i polankę leśną, wniósł coś nowego, oryginalnego. Stworzył sztukę w całem znaczeniu męzką, a ponieważ dotychczas mężczyzna tylko robił historyę i pchał społeczeństwa na nowe tory — sztukę ludzką. Nadaremnie poszukiwalibyśmy w utworach jego ciał niewieścich i zmysłowej nagości artystycznej — wyłącznie mężczyźni są przed nami, nadzy wprawdzie i nawet bez listka figowego, lecz tacy, dla których życie ześrodkowało się gdzieindziej, nie w zmysłach pożądliwości. Nie technika działa tu na nas, lecz idea — szeroka, gwałtowna, niekiedy męcząca, co gra na każdym nerwie, targa wnętrzności nasze i nie da zapomnieć o sobie w cukierni przy czarnej kawie i kieliszku koniaku. Obraz pozostaje w umyśle, wżera się w niego i zapanowywa nad fantazyą. Postacie bywają u Schneidera nieraz twarde, sztywne. Ci mocarze asyryjscy w martwej bezwładności, owe trupy nieruchome rażą, ale zarazem dodają obrazowi potężniejszego uroku: Sasza Schneider jest poniekąd prerafaelistą i używa prostoty i sztywności symbolicznej dla wywołania silniejszego efektu. Mniejsza zresztą o technikę, na której się nie znam — artysta działa na mój umysł i mało mnie obchodzi, jakich środków używa w tym celu. Ręka jego jest twardą i ostrą, jak nędza, wśród której dojrzał talent, jak szyderstwo, które rzuca on w twarz filistrom: muzyk w utworze Kiellanda wydobył z klawiszy zgrzyt głodu, Sasza Schneider podaje im pomysły, które noszą piętno, iż zrodziła je bieda z troską o kawałek powszedni chleba.

Kobieta omdlała na ziemi, głowa konwulsyjnie odrzucona, gardło ściśnięte. Piersi i ramiona z silnie rozwiniętemi mięśniami, obnażone. Nie salonowa to lalka, ale stworzenie zdrowe i śmiałe. Nad nią pół leży, pół siedzi potwór, gotów porwać ją w objęcia i przywłaszczyć. Dolna część tułowia kobiety i potworu giną wśród mroków, czujemy przecież, iż wyrasta on ze zmysłów kobiety, z tego, co pcha ją na manowce, co pożądliwością mąci jej dążenia ku czemuś wyższemu. Zwierzę ma postać małpy człekokształtnej co tylko zwiększa rozdźwięk i wzmaga wrażenie; pochylone czoło, kły potężne, pazury nadają tej karykaturze fizyognomię odrażającą. Zgrzyta ono zębami, ze ślepiów jego tryska gniew z nienawiścią. Tam z boku, wśród światła i jasności, młodzieniec trzyma dłoń omdlałej i wzrokiem odgania straszydło, które objęło już dolną część ciała w posiadanie. Spokojna, bez śladów zmysłowości, idejowa a czysta twarz jego odbija ostro od ohydnej potworu. Podpis: o duszę czyją? — walka zmysłowości, kłamstwa i obłudy kobiecej z jej porywami ku czemuś wyższemu, walka pomiędzy tym, który pragnąłby „poprowadzić ją ku Bogu,“ jak mówi Konopnicka, a chcącym strącić ją w przepaść upodlenia.

Judasz Iskaryota. W oddaleniu skrzydlata postać Chrystusa, całą płaszczyznę zalewająca światłem. Żadnego cienia, ażeby w nim się ukryć, żadnej skały, za którą możnaby się schować. Jasność promienista przenika powietrze, przesyca nawet ziemię. Judasz czarny, ponury ucieka — nie, nawet nie ucieka, bo się niema gdzie schować — idzie więc, bo iść jeszcze lepiej, niż stać na miejscu. Stąpa on po srebrnikach, zamiast trawy pokrywających ziemię, brzękiem swoim przypominają mu one zbrodnię, gałęzie cierniowe jak roślina pasorzytnicza, pnąca się, otoczyły i obrosły go i wpijają się w ciało i wloką się za nim, jak gdyby chciały powstrzymać kroki jego. Przed zdrajcą, wśród świateł, widmo krzyża, zbudowane jeszcze z rzęsistszych promieni. Schylił głowę, ażeby nie widzieć tego symbolu, pragnąłby zapaść się w ziemię, nawet z włosów na głowie i brodzie każdy żyje, wypręża się konwulsyjnie i ucieka na dół. Ale widmo krzyża jest obdarzone ruchem. Pochyla się ono także: choć zbrodniarz ucieka, przecież zahypnotyzowany, zrozpaczony wpatruje się w nie. Są podłości, od których niema ucieczki!

Kotlina górska, niel — olbrzymi rak-człowiek, którego głowa tworzy grzbiet górski, ramiona — ściany, nieschodzące się nawzajem i pozostawiające między sobą wejście do środka. Ciemne cielsko potwora zlewa się z powierzchnią ziemi, mrok zaś tam panujący czyni kształty zwierzęcia jeszcze straszniejszymi. Twarz bezmyślna i śpiąca, nozdrzy niema, usta ściśnięte, jak u osób milczących, skrytych. Tylko oczy żyją: olbrzymie, chciwe, żarłoczne. Wpatrują się one z całą mocą w muskularną, energiczną postać męzką, obróconą tyłem do widza. Czujemy, iż ów ktoś pragnąłby wszystkiemi tkankami nerwów swoich zapomnieć o potworze, który go hypnotyzuje, głowa jego zwrócona ku dalekiemu widnokręgowi, skąd bije łuną światłość, zakryta tułowiem wrosłej w ziemię bestyi, pojmujemy przecież, iż oczy jego przykute są do straszydła, które pozostawiło mu wprawdzie wyjście, ale po to tylko, ażeby w razie ucieczki je zamknąć. Jak kot z myszą, tak samo rak-człowiek igra z ofiarą swoją, czujemy prawie ruch kleszczy, zbliżających się i oddalających. Mężczyzna ma ręce w kajdanach, które zwieszają się na ziemię. To poczucie zależności!

A teraz *pendant* do czarnych snów i widziadeł Zygmunta Krasińskiego. Ponura równina bez końca. Tam wśród mroków i sadzy wznoszą się w górę tysiące kominów fabrycznych, z nich dym dobywa się kłębami, zbiera się w chmury i przesącza atmosferę. Promienie słońca nie przedzierają się, ciemności nienaturalne rozpostarły się. Od kominów aż do podnóża skały morze falujące głów ludzkich: w twarzy jednych bezmyślna rozpacz, przygnębienie lub osłupienie, w innych troska i głód. Tylko w oczach przebija jeszcze nadzieja, połączona zresztą z powątpiewaniem i obawą. Wzrok wszystkich skierował się ku górze, gdzie na zrębie skały widnieje postać Chrystusa, przemawiającego do tłumu, spokojna, choć wzruszona. Za nim olbrzymie widmo krzyża z napisem: Wolność, równość, braterstwo! Duch złego, jako smok, wbija się wściekle pazurami w drzewo, jak gdyby pragnął je zmiażdżyć. Pysk jego wykrzywiony nienawiścią i szyderstwem, przechyla się przez ramię krzyża tuż na głową mówiącego i drwi z napisów i haseł wolności i braterstwa. *Eins ist Noth* — głosi nagłówek, tj. „jednego nam trzeba,“ umiłowania wzajemnego.

Rozpacz. Siwy starzec leży na marach, biały całun pokrywa jego nagie członki i sztywnością swoją wskazuje, że tam, pod tą regularną czaszką, myśl żyć przestała, że te rysy, napiętnowane poświęceniem i szlachetnością, nie poruszą się więcej. Nad zmarłym siedzi syn, twarz ukrył częściowo w ręku, pochylił się nad trupem całem swojemm ciałem. Jeszcze dalej potwór kobiecy przeraźliwej wielkości — czujemy, że rośnie on i będzie potężniejszy. Ręce położył na ramionach zrozpaczonego, i znowu czujemy ciężar tych ogromnych dłoni i pojmujemy, że wzmoże się jeszcze. Piersi kobiety zwiesiły się, jak gdyby chciały także spocząć na głowie ofiary i także przysporzyć jej brzemienia. Ciemności wszędzie, tylko włosy olbrzyma-zmory wiją się jako słupy ognia i wydobywają się z czaszki w szalonym zamęcie i wirze. Ale nie bije stąd

światło i ciepło, tylko szał bezmyślny, który gotów pchnąć kogoś do rozbicia głowy o mur — bez myśli i celu. Tam gdzieś na widnokręgu migocze łuna i zwiastuje uspokojenie, lecz przez cielsko potworne widzimy tylko jej skrawki...

I treść innych obrazów obraca się dokoła podobnych tematów. To Sasza Schneider przedstawia ducha ziemi, samotnego w swojej wielkości, to geniuszów historyi ludzkiej, widzenia, to protestującego przeciw tradycyom i urządzeniom, powstrzymującym swobodny rozwój szczęścia na ziemi. Wszędzie jest sobą, tj. pełnym idei i pomysłowości artystą-symbolistą, za pomocą prostych środków przemawiającym do wyobraźni widzów. Banalności tam niema, ani silenia się na efekt: z każdego obrazu uderza nas idea oryginalna, naigrawająca się z estetyki dla sztuki, z tych recept eunuchów ducha i retynistów bez własnego pomysłu, którzy po za nagiem ciałem kobiety nie widzą innych tematów. Tak, Schneider jest symbolistą, jak jest nim Maeterlinck, tylko że tamten potężniejszy w idei ludzkie, szerokie, że jak zwierz rozhukany idzie naprzód i drwi z świętości, pod którémi bałwochwalczo ugina się poeta belgijski, że zamiast babrania się w widziadłach i widziadełkach sennej jaźni, zamiast poszukiwania źródła prawdy w dziecięcym mistycyzmie, wybiera pomysły męzkie, zuchwałe, tchnące życiem i potrzebami rzeczywistości. Obaj dowiedli, że symbolizm może stworzyć coś wielkiego — trzeba tylko, ażeby był talent. Kilku symbolistów, ludzi zwykle bez iskry twórczej, usiłuje zastąpić ją przez dziwolągi językowe, dobór niepasujących pojęć, zestawienie niemożliwych obrazów. Maeterlinck stworzył lepsze rzeczy swoje nie za pomocą tych środeczków, lecz im naprzekór. Schneider, artysta - malarz, z konieczności nie może używać takich sztucznych forteli dla wywołania efektu. Symbol panuje, ale symbol rozumny, godzący się z naszą logiką. Co da on nam w przyszłości, pozostaje tajemnicą. Te kilkanaście kartonów, stworzonych w krótkim przeciągu czasu, wśród gorączkowej pogoni za groszem na odegnanie nędzy, wróżą wielkiego artystę. Ale wróżba nie zawsze się sprawdza. Talenty w chwili obecnej ukazują się niekiedy jako meteory — zabłysnie któryś na chwilę, olśni oczy i zagaśnie: wypalił się! Gorączkowe tempo tworzenia, gdy trzeba dla chleba sypać pomysłami jeden po drugim, nie sprzyja rozwojowi pewnych natur, na razie napręża wszelkie siły, które obumierają niebawem. *Z.*

POEZYE

GRAB.

Umiera życie leśne. Już z kwiatów kielicha
Po drzewach mgły kadzideł włóczą się leciuchnie.
A oto na powietrzu ptak pościerwny czyha —
Noc czarnoskrzydła. Spadła. Ciemność. Wszystko głuchnie.

Ciężki mrok. Zda się, żadne drzewo nie oddycha.
Lecz spojrz: tam grab spróchniały. Nagle na tem próchnie
Wybucha jakaś światłość miękka, ciepła, cicha.
Ani noc jej nie stłumi, ani wiatr nie zdmuchnie.

O, lesie istnień, dusze w twych borzach drętwieją!
Tylko czasem, gdy ciemnie chwycą w czarne szpony
Lud i bryzną mu w oczy zwątpienia zawieją,

I krwawią się porywy i w prochu się męczą,
Wtenczas coś je rozniéca jakąś iskrą świętszą,
wielka jasność bije z piersi przepalonej.

KLON.

Babie lato! babie lato!
Drzemie klon na martwej roli,
Snując złoto-popielatą
Przędzę cichej melancholii.

Skąpał postać pół-garbatą
W rdzawych liści aureoli —
I nie zgadniesz pod tą szatą,
Czy co boli, czy nie boli?

Spojrzyj, stary marzycielu!
Prawda, jak się złocą smugi,
Niby wspomnień szereg długi

Z przed dni wielu, z przed lat wielu?
Prawda, jak to błyszczy pięknie?..
Powiedz, bo mi serce pęknie!..

PRAGNIENIE.

I było mi to w szale bólu i rozpaczy
Biczować się i pięścią tłuc w pierś ze skruchy,
I było mi ten popęd do życia junaczy
Okiełznywać i pętać w śpiżowe łańcuchy!

To *życie* trzeba było mi pojąć inaczej
I czczych mar się nie lękać, złowieszczych, jak duchy,
I czuć trzeba mi było, że żyć to nie znaczy
Gnić powoli i w szkielet zamieniać się suchy!

I cóż, że me porywy jednej łzy nie warte?
I cóż, że nie odetchnę potęgą olbrzyma?
I cóż, że mi ktoś, piersi wskazując rozdarte,

Syczy, wijąc się z bólu: *spojrzyj, tu nic nie ma!*
Dziś mnie się trwożnych złudzeń płochy rój nie ima.
Chcę żyć! Za chwilę szczęścia wszystko dam na kartę!

Władysław Sterling.

SPRAWY EKONOMICZNE

DZIESIĘCIOLETNIA DZIAŁALNOŚĆ

instytucyj obowiązkowego ubezpieczenia robotników w Niemczech.

III.

Prawo z dnia 22 czerwca 1889 roku o ubezpieczeniu inwalidów i starców (Invaliditäts-und Altersversicherungsgesetz) nakłada obowiązek ubezpieczenia, począwszy od 16-go roku życia, na: 1) wszystkich robotników najemnych wszystkich gałęzi zawodowych włącznie z terminatorami i sługami; 2) na oficyalistów i terminatorów handlowych, zarabiających do 2,000 marek rocznie; dalej zezwala na rozciągnięcie obowiązku ubezpieczenia (za zgodą Rady związkowej) w niektórych zawodach na 3) mniejszych przedsiębiorców (zatrudniających tylko po 1 robotniku), oraz 4) na prowadzących przemysł domowy. Z drugiej strony owi drobni przedsiębiorcy (niżej 40-tu lat życia) mają prawo do samoubezpieczenia. Prócz tego, osoby, które porzucając dane zajęcie, stają się wolne od obowiązku ubezpieczenia, mają prawo przedłużyć je lub odnowić, ponosząc dobrowolnie wynikające stąd ciężary. Prawo do ubezpieczenia ustaje dopiero wtedy, jeżeli dana osoba w ciągu 4-ch kolejno idących po sobie lat kalendarzowych wniosła wkładów mniej, niż za 47 tygodni (= 1 wkład roczny). Dotychczas obowiązek ubezpieczenia rozciągnięty został na domowy przemysł tytuniowy i niektóre gałęzie domowego przemysłu przędzalniczego i tkackiego.

Obowiązkowi ubezpieczenia nie podlegają: 1) urzędnicy cesarstwa i państw związkowych, jak również komunalni, mający prawo do emerytury; 2) osoby stanu wojskowego, zajęte w charakterze robotników; 3) niezdolni do pracy (którzy wogóle nie mogą zarobić więcej nad $1/3$ zwykłego zarobku prostych robotników danej miejscowości) i 4) osoby, które jako zapłatę otrzymują tylko utrzymanie.

Asekuracya ta ma na celu zapewnienie renty dożywotniej inwalidom i starcom. Prócz tego zabezpiecza ona zwrot (najmniej 5-rocznych) wkładów i 1) kobietom, które wychodzą za mąż przed otrzymaniem renty; 2) wdowom lub sierotom (do 15 lat) takich ubezpieczonych, którzy umierają przed otrzymaniem renty. Wreszcie dozwolona jest opieka nad ubezpieczonym w wypadku choroby, o ile jako jej skutek daje się przewidzieć niezdolność do pracy, pociągająca za sobą prawo do renty inwalidów.

Rentę taką otrzymuje każdy ubezpieczony, bez względu na swój wiek, jeżeli staje się stale niezdolnym do zarobkowania, tj. nie może zdobyć się na $1/3$ przeciętnego swego zarobku; dostaje ją również robotnik, który czasowo stał się niezdolnym do pracy, nieprzerwanie wszakże w ciągu roku, lecz wtedy otrzymuje ją tylko przez okres dalszego ciągu trwania niezdolności. Renta inwalida jest więc odszkodowaniem za straconą zdolność zarobkowania.

Przy udowodnionej niezdolności do pracy, może ona być otrzymaną po wykazaniu 5 wkładów rocznych (t. zw. Wartezeit). Za roczny wkład uważa się 47 wkładów tygodniowych i bez względu na to, czy przypadają one na rozmaite lata kalendarzowe. Trzeba zatem wykazać najmniej 5×47 wkładów (tygodniowych).

Rentę starca otrzymuje każdy ubezpieczony, który ukończył 70 lat życia, bez względu na zdolności zarobkowania. Aby ją dostać, należy wykazać 30 wkładów rocznych, czyli 30×47=1,410 tygodniowych musi być wniesionych, zanim ubezpieczony może uzyskać rentę. Udowodniony czas choroby, służba wojskowa i przerwa w stałem zarobkowaniu do 4-ch miesięcy zostają zaliczone do niezbędnego czasu (Wartezeit) przy obu rentach.

Środki ubezpieczenia powstają z wkładów: państwa, przedsiębiorców i robotników. Państwo dokłada do każdej renty stałą sumę 50 marek rocznie; prócz tego pokrywa część renty (wkładów), która przypada na czas służby wojskowej ubezpieczonego, dalej koszty urzędu do spraw ubezpieczeniowych. Ułatwia ono wypłatę renty przez kantory pocztowe, jak przy ubezpieczeniu od nieszczęśliwych wypadków. Wszystkie pozostałe koszty pokrywają w równej części robotnicy i przedsiębiorcy. Wysokość wkładów określa się stosownie do wysokości rocznego zarobku ubezpieczonych, podług 4 klas. Klasa I-sza do 350 marek, II-ga do 550 m., III-cia do 850 m., IV-ta wyżej po nad 850 m. Za wspólną zgodą robotników i przedsiębiorców, wkłady mogą być wnoszone podług wyższej klasy w celu zapewnienia ubezpieczonemu większej renty.

Dla pierwszego 10-cio letniego okresu prawo ustanowiło dla każdej klasy zarobkowej, na podstawie doświadczenia w dziedzinie ubezpieczeń, następujące wkłady tygodniowe: w klasie I-szej 14 fenigów, w II-ej 20 fenigów, w III-ej 24 f., w IV-ej 30 f. Nadwyżki lub braki mogą być wyrównane w następnym okresie wkładowym.

Co się tyczy wysokości, renta starca składa się z 50 marek, udzielanych przez państwo i ze stopniowo zwiększającej się sumy, która za każdy opłacony wkład tygodniowy wynosi: w klasie zarobkowej

I-szej 4 fen., II-ej 6 fen., w III-ej 8 fen., w IV-ej 10 fen. W ten sposób renta na starość wynosi: w I-szej klasie 106,80 marek, w II-ej 135 m., w III-ej 163,20 m., w IV-ej 191,40 marek rocznie.

Renta inwalida składa się z 50 marek, udzielanych przez państwo i z sumy zasadniczej (stałej) 60 marek, która z każdym wkładem tygodniowym wzrasta: w klasie I-szej o 2 fen., w II-ej o 6 fen., w III-ej o 9 fen., w IV-ej o 13 fen. Wysokość renty inwalida zależy więc od ilości wniesionych składek tygodniowych i od danej klasy zarobkowej, według której składki były wnoszone; po upływie 5-ciu wkładów rocznych (Wartezeit—a zatem najmniejsza) renta inwalida wynosi rocznie w I-szej klasie 115,20 marek, w drugiej 124,20 m., w III ej 131,40 m., w IV-ej 141 m.; po upływie zaś 50-ciu lat kalendarzowych, w tak zw. „stanie niezmiennym“ (Beharrungszustand), gdy stopniowo wzrastająca renta dosięga najwyższego punktu, wynosi ona: w klasie zarobkowej I-szej 162 marki, w II-ej 266,40 m., w III-ej 344,40, w IV-ej 448 m. rocznie. Możemy to przedstawić wyraźniej w następującej tabliczce:

Klasa	I	II	III	IV
Wkład tygodniowy robotnika i przedsiębiorcy (w połowie) razem	0,14	0,20	0,24	0,30
Suma wkładów ubezpieczonego bez wkładów przedsiębiorcy:				
W ciągu pierw. 5 lat	16,45	23,50	28,20	35 25
„ 50 lat kalend.	227,50	347,10	438,10	566,80
Renta roczna wraz z dodatkiem 50 marek od państwa:				
a) renta inwalida po 5-ciu latach . . .	115,20	124,20	131,40	141,00
renta inwalida po 50 latach	162,00	266,40	344,40	448,20
b) renta starca (70-cio letniego)	106,80	135,00	163,20	191,40

Renta bywa wypłacaną co miesiąc z góry i nie może podlegać aresztowi wierzyciela, ani żadnemu zastawowi. Jeżeli ubezpieczony otrzymuje jednocześnie rentę z powodu nieszczęśliwego wypadku lub emeryturę, to prawo jego do renty inwalida lub starca trwa o tyle, o ile obie renty razem nie przewyższają sumy 415 marek, czyli najwyższej inwalida po 50 latach wkładowych; prócz tego prawo do renty ustaje na przeciąg czasu, na który ubezpieczony został aresztowany lub wyjechał za granicę.

Każdy zakład ubezpieczenia rządzony jest na podstawie statutów, ułożonych przez „komisyę“ (Ausschuss); ta ostatnia składa się najmniej z 5 przedstawicieli robotników i tyluż przedstawicieli przedsiębiorców. Administracya spoczywa w rękach urzędników państwowych lub komunalnych. Do zarządu jednak mogą być jeszcze przyłączeni przedstawiciele robotników i fabrykantów.

O prawie do renty decyduje zarząd danego zakładu ubezpieczenia. Przeciw jego decyzyi ubezpieczony w ciągu 4 tygodni może się odwołać do sądu honorowego, którego skład jest taki sam, jak przy ubezpieczeniu w nieszczęśliwych wypadkach, a dalej obie strony mają rekurs do urzędu państwowego dla spraw ubezpieczeniowych w ciągu 4 tygodni.

Urzędy członków zarządu, komisyi, rady nadzorczej, mężów zaufania i członków sądu honorowego są bezpłatne. Sprawujący je otrzymują tylko tyle, ile z własnej kieszeni wykładają na sprawy administracyjne; gdy jednak są między nimi przedstawiciele robotników, dostają oni wynagrodzenie za stracony zarobek.

Aby potrzebującym przyspieszyć korzystanie z prawa, na pierwszy okres poczyniono odstępstwa od reguł zasadniczych. W ten sposób dla ubezpieczonych, którzy z dniem wejścia w życie prawa (1 stycznia 1891 r.) skończyli 40 lat i dowiedli, że w ostatnich 3 latach (1888, 1889 i 1890) najmniej 3 lata wkładowe (=141 tygodni) znajdowali się przy pracy, podlegającej przymusowemu ubezpieczeniu, dla tych niezbędny czas czekania (Wartezeit) zmniejszył się o tyle lat wkładowych i tygodni, o ile lata ich życia przewyższyły liczbę 40 przy wprowadzeniu ustawy o ubezpieczeniu. Dzięki temu 70-letni mógł otrzymać rentę już 1 stycznia 1891 roku, nie zapłaciwszy żadnego wkładu.

Również dla otrzymania renty inwalida w ciągu pierwszych 5 lat kalendarzowych po zastosowaniu prawa wystarcza dowód, że wkłady zostały zapłacone najmniej za jeden rok wkładowy, czyli za 47 wkładowych tygodni, i że ubezpieczony przed wprowadzeniem prawa i w ciągu 5 ostatnich lat przed nastaniem terminu renty tyle tygodni zajęty był przy pracy, podlegającej obowiązkowemu ubezpieczeniu, ile brak mu do przepisanego terminu 5-letniego, czyli do 235 tygodni wkładowych. W ten sposób czas, przepędzony przed wejściem w życie prawa przy pracy, podlegającej obowiązkowemu ubezpieczeniu, zostaje zaliczony do czasu czekania (Wartezeit). Obok tego do czasu pracy zalicza się: czas choroby, służby wojskowej i przerwy w pracy do 4 miesięcy, jeżeli przerwa nastąpiła z braku zajęcia, a robotnik nie stracił miejsca.

Jak widzieliśmy, przy ubezpieczeniu w nieszczęśliwych wypadkach, ubezpieczony otrzymuje ⅔ zarobku w razie zupełnej niezdolności do pracy i część pewną przy niezupełnej. Renta zaś inwalida i starca jest mniejsza. Prawodawcy wychodzili z tego założenia, że nagły wypadek, pozbawiający możności zarobkowania, oznacza nieszczęście nieprzewidziane, na które dana osoba nie była przygotowaną; stopniowy zaś zanik sił wskutek chorób i zbliżającej się starości stanowi przedmiot do przewidzenia dla każdego przezornego robotnika.

Co się tyczy dotychczasowych rezultatów ubezpieczenia renty inwalidów i starców, to w ciągu 5 pierwszych lat (1891—95) przyznano zostały: 269,450 rent starców i 156,027 rent inwalidów, na które wypłacono okrągłą sumę 143 miliony marek (włącznie z 57 milionami marek dodatku państwowego). Dochód wynosił 488 mil. marek. Podług lat wyniki były następujące:

Rok	Liczba przyznanych rent in.	rent star.	Wypłacono mar. na renty inwalidów	starców
1891	44	132,900	—	15,300,000
1892	17,900	42,900	1,353,000	21,000,000
1893	36,000	31,800	5,282,000	22,700,000
1894	47,600	34,100	10,173,000	24,400,000

W roku 1895 otrzymało rentę 347,700 osób. Wszystkich ubezpieczonych było 11,585,000 osób. Wydatki dosięgły 31,970,000 marek, państwo dołożyło od siebie 16,940,000 marek.

Jeżeli weźmiemy przeciętny zarobek 600 marek rocznie przy 300 dniach roboczych, otrzymamy następujące wkłady dzienne na cele ubezpieczenia: na rentę starców i inwalidów 4 fenigi, na kasy chorych 4 fen., na ubezpieczenie nieszczęśliwych wypadków 2 fenigi, razem 10 dziennie, z których ubezpieczony płaci mniej, niż połowę. Z tego punktu widzenia prawodawstwo ubezpieczeniowe przedstawia się w bardzo korzystnem świetle dla robotników, gdyż żadne prywatne towarzystwa nie dają tak tanich warunków. Co ważniejsza, wszystkie trzy gałęzie przymusowego ubezpieczenia stworzyły nowe prawo dla robotników, prawo do pomocy w nieszczęściu. W ciągu dziesięciolecia 1885—1895 ogółem 25,061,620 osób (nie licząc kas górniczych — Knappschaftskassen) otrzymało w kosztach leczenia i rentach 1,243,763,965 marek, czyli prawie 1¼ miliarda. Przedsiębiorcy wnieśli przez ten czas 960,742,016 marek, robotnicy 887,865,084 marek, tak, że ci ostatni o 355,900,000 marek otrzymali więcej, niż zapłacili. Niezawodnie, wielu nieszczęśliwych prawo o ubezpieczeniu uchroniło od wyciągania ręki po jałmużnę; wiele osób uchroniło od śmierci, zniewalając przedsiębiorców do stosowania środków ochronnych przy pracy. Lecz ani renty inwalidów i starców, ani renty kalek nie zabezpieczają bodaj znośnego bytu poszkodowanym, są bowiem zbyt małe. Wiek zaś 70 lat, wymagany dla otrzymania renty na starość, czyni tę rentę dostępną tylko dla niewielu wybranych. Wiadomo przecież, że ludzie z klasy pracującej żyją krócej, aniżeli z posiadającej, i że rzadki stosunkowo robotnik dosięga 70 roku życia, a ten, co go dosięga, niedługo cieszyć się może swoją rentą. Myliłby się wreszcie, ktoby sądził, że państwu niemieckiemu udało się za pomocą ubezpieczenia wejść na drogę, prowadzącą do rozwiązania kwestyi społecznej. Ubezpieczenie to nie jest w stanie powstrzymać rozwoju proletaryzacyi mas, ani przełomów przemysłowych i wynikającego stąd przymusowego bezrobocia.

A. War—ski.

O PRAWDĘ.

Odpowiedź p. Gajslerowi.

P. Gajsler w recenzyi mojej składni (*Prawda* nr. 38), przypisuje mi twierdzenia, o jakich ani mi się śniło, a czyni mi zarzut z opuszczenia szczegółów, które, dobrze poszukawszy, w właściwem miejscu każdy znaleźć może; wogóle widzi same błędy, prawie wszystkie urojone.

Zaczynam swą książkę od definicyi składni. Składnia jest to nauka o budowie, czyli składzie zdania. Poczem dodaję, że składnią nazywa się nietylko *nauka* o budowie zdania, lecz także *sama budowa* zdania, co popieram przykładami. Szan. recenzent dodał do moich słów samowolnie słówko *tylko*, które nawet podkreślił (*sama tylko* budowa), przekręcił zupełnie sens mojej definicyi i wyciąga stąd wniosek, że podług mnie „budowa nie jest składem.“ Czy dlatego, że używając po raz drugi wyrazu *budowa*, uważałem za niepotrzebne dodać powtórnie „czyli skład“? Zresztą w całej książce obydwu tych terminów używam bez różnicy.

Ażeby dowieść, że w mej książce „panuje niesłychana samowola“ w terminologii, recenzent twierdzi, że morfologię nazywam etymologią. Tymczasem wyrazu *etymologia* użyłem tylko raz, mianowicie w zdaniu: Stopniowanie przymiotników i przysłówków nie jest fleksyą i należy do etymologii, nie do morfologii. Z tego zdania chyba tylko wywnioskować można, że odróżniam ściśle morfologię (naukę o odmianach) od etymologii (nauki o pochodzeniu wyrazów).

Dalej recenzent twierdzi, że u mnie „treść jest źródłosłowem.“ Tymczasem powiedziałem tylko, że w orzeczeniach słownych źródłosłów wyraża treść orzeczenia, a końcówka osobowa jego formę.

W innem miejscu pisze, że zaimek *się* zaliczam do partykuł. Tymczasem terminu *partykuła* w całej książce wcale nie użyłem. Ślicznie mię recenzent poucza, że *się* jest 4 przyp. zaimka zwrotnego, i dowodzi tego za pomocą języka czeskiego, słowackiego, korutańskiego i starosłowiańskiego. No, o tem wie chyba każdy pierwszoklasista, nawet bez tego arsenału porównawczego. Gdyby recenzent raczył poszukać, to znalazłby w mojej książce dość szczegółowe roztrząsanie o tem, kiedy ten zaimek jest dopełnieniem bliższem w przyp. 4, a kiedy znaczenie to zatracił i stał się słówkiem formalnem (ob. §§ 142, 27, 317, 214).

Co do słówek formalnych, recenzent się dziwi, dlaczego części mowy nieodmienne tak nazywam i widzi w tym terminie „terminologię nową.“ Popierwsze nie wszystkie części mowy nieodmienne tak nazywam, a powtóre mogę szan. recenzenta zapewnić, że ten termin jest powszechnie używany w językoznawstwie ogólnem,

przynajmniej od czasu odczytów Maksa Müllera (które w tłomaczeniu niemieckiem wyszły 1863 roku).

Ażeby dowieść, jak moja „Składnia“ jest niedokładna, recenzent twierdzi, że „czytelnik napróżnoby szukał prawideł i przykładów, jak np. biernik przy bezokoliczniku, oznaczający podmiot.“ No, poszukajmy! Na str. 279 i 280 mówię dość obszernie o konstrukcyi, zwanej accusativus cum infinitivo, jako o latynizmie, odrzuconym ostatecznie przez zwyczaj językowy i przytaczam odpowiednie przykłady z Górnickiego, Orzechowskiego i Kochanowskiego.

Dalej recenzent wylicza następujące braki: „biernik rodzaju i sposobu, np. bo cię już goni we sto koni; biernik narzędziowy: zażeśmy w imię twoje cud wiele nie czynili; biernik podobieństwa: chłop w chłopa; biernik z przyimkiem *na*, oznaczający trwanie itp. Szan. recenzent widocznie przeoczył, że w tych wszystkich przykładach mamy biernik, opatrzony przyimkiem *w* lub *na*; i gdyby zechciał przeczytać, co w rozdziale o znaczeniu przyimków piszę o przyimkach *w* i *na* z 4 przyp. (§§ 271, 272), to znalazłby wszystkie te znaczenia i jeszcze wiele innych. Wobec tego jak rozumieć okrzyk tryumfalny recenzenta: „Są to tylko niedokładności, dotyczące biernika, a cóż dopiero mówić o innych przypadkach!“

A teraz kilka słów o kwestyach zasadniczych, w których się stanowczo z recenzentem nie zgadzam. P. G. zarzuca mi, że składnię opieram na logice i twierdzi, że „nauka o języku może być opartą *jedynie* na zasadach fizyologii, newrologii i akustyce w związku z psychologią.“ Wielkie słowa! Tylko recenzent w tem miejscu zapomniał, żem napisał składnię, a nie fonetykę. Ciekawym doprawdy składni, opartej na fizyologii, newrologii i akustyce! Gdzież p. G. taką składnię widział?

Podobną wartość ma drugi zarzut, że „unikam metody porównawczej“ że mam „wstręt do języków słowiańskich.“ Wiadomo niestety, że językoznawstwo porównawcze, tak płodne w rezultaty dla fonetyki, etymologii i morfologii, dotychczas prawie nic nie zdziałało dla składni (pominąwszy chlubę nauki słowiańskiej, składnię porównawczą języków słowiańskich Miklosicza). Daleko więcej w tym względzie zrobiło językoznawstwo ogólne. Zresztą nic w tem dziwnego. Składnia każdego języka, wyrósłszy ze wspólnego pnia języków pokrewnych, zachowała wprawdzie pewne cechy, wspólne wszystkim językom jednej rodziny, lecz w dalszym rozwoju kształtowała się nieraz na językach obcych, pozostających w dalszem tylko pokrewieństwie z tym językiem. Dla składni polskiej o wiele ważniejsza od korutańskiej i bułgarskiej jest składnia łacińska i niemiecka, wedle których przeważnie się rozwijała. Nie pominąłem przecież zupełnie tego wspólnego gruntu słowiańskiego, bo wszak nieraz zaznaczam, że pewne zjawisko językowe jest właściwością języków słowiańskich, że w językach niesłowiańskich bywa inaczej (np. §§ 32, 33, 228, 279), ale głównie zwracałem uwagę na te języki, które na składnię polską przeważny wpływ wywierały lub wywierają i które moim czytelnikom są więcej znane, tj. na język łaciński, niemiecki i rosyjski; przytoczyłem sporą liczbę latynizmów, germanizmów i rusycyzmów, czego nie uważam wcale za zbyteczne. Składni porównawczej języków słowiańskich po Miklosiczu pisać nie zamierzałem. Zresztą dziwna rzecz, że recenzent składnię moją nazywa „szkolną,“ „elementarną,“ a równocześnie wymaga, żebym w niej zwracał uwagę na język bułgarski.

Jeszcze w jednej kwestyi zasadniczej jestem innego zdania, niż szan. recenzent. Zarzuca mi, że na powadze Korzeniowskiego, Mickiewicza i Sienkiewicza opieram germanizmy i galicyzmy, oraz dodaje, że „w sprawie czystości języka nie mogą wyrokować pisarze wzorowi“ i że „uwzględnić należy i innych, drugo i trzeciorzędnych.“ Wiem, że i najlepszemu pisarzowi wymknie się niekiedy błąd językowy, lecz tem bardziej drugo i trzeciorzędnym. Dla mnie zwroty, stale używane przez Mickiewicza, Korzeniowskiego i Sienkiewicza, a oprócz tego powszechnie przyjęte w żywej mowie ludzi wykształconych, są niewątpliwie zwrotami polskimi i nie potrzebuję sięgać do pisarzy minorum gentium, żeby się o tem przekonać. I germanizm przestaje być błędem, skoro go przyjął zwyczaj powszechny, jedyny prawodawca języka. Gramatyka jest jakoby historyą naturalną języka i ma tylko prawo zapisywać fakty dokonane. Tak też postąpowałem. Nie dobierałem przykładów do prawideł z góry postawionych, lecz przeciwnie z zebranych przykładów wyciągałem prawidła.

Oprócz germanizmów i galicyzmów znalazł p. G. w mej składni także „dziwolągi językowe.“ Przytoczone przezeń wyrazy: mnogoliczebny, pojedyńczoliczebny, dopowiedzenie — nie są przecież moimi nowotworami, lecz są oddawna używane przez Małeckiego, oraz w innych gramatykach. Niechże mi recenzent dowiedzie, dlaczego te wyrazy mają być niezgodne z duchem języka polskiego. Z wytkniętych „dziwolągów“ może tylko stopień wyższy: „szczegółowszy“ jest niefortunnie utworzony, choć jest dość powszechnie używany. A dlaczegóżby do dziwolągów zaliczać *umożebnienie* i *zdefiniowanie*, skoro używamy słów *umożebnić* i *zdefiniować*? Zresztą *zdefiniowanie* (oznaczenie) *gatunku* nie jest to samo, co *definicya*, jak sądzi recenzent.

Nareszcie zarzuca mi p. G. „narzucanie się z nową pisownią.“ Przecież to pisownia nie nowa, lecz w głównych punktach oddawna znana, a obecnie z powodzeniem broniona przez Kryńskiego i in. Przyjąłem ją dlatego, że mojem zdaniem ma przyszłość przed sobą, ponieważ opiera się na zasadzie etymologicznej tylko o tyle, o ile dzisiejsze wymawianie z nią się zgadza.

Na zakończenie niech mi będzie wolno wypowiedzieć kilka słów żalu, że recenzent znalazł w mej książce pełno błędów urojonych, pedantyzm, scholastycyzm, suchość i inne piękne rzeczy, a nie znalazł tego, co w niej niewątpliwie jest, a co mam prawo uważać za swą własność i za postęp rzeczywisty, jako to: systematyczny podział składni, wykazanie różnych stosunków syntaktycznych (zgody, rządu, względu i przynależności, do których pragnąłbym dodać jeszcze piąty, stosunek współrzędności — ob. § 200), sposoby odróżniania zdań pobocznych od głównych, pomysł „odpowiednika“ i wiele innych.

Wprawdzie p. G. w mej książce widzi „postęp niepospolity“ i „krok naprzód“; ale są to gołosłowne twierdzenia, niczem nie poparte. Czytelnik może być zdziwionym, jak recenzent po wyliczeniu samych tylko błędów doszedł do takiego wniosku. Czyż nie należało, choćby dla równowagi, wskazać na kilka punktów, na których ten postęp polega?

Antoni Krasnowolski.

W DALI.

Radom. W ostatnich czasach zwrócono uwagę na niehygieniczne warunki miasta. Stwierdzono np., że woda tylko ze studzien czerpana wogóle nie jest dobra do picia, częściowa zaś kanalizacya miasta służy do odprowadzania wody deszczowej, lecz nie usuwa wszelkich nieczystości. Skutkiem tego magistrat, z rozporządzenia p. gubernatora, projektuje skanalizowanie zupełne całego miasta, jednocześnie zaś zaprowadzenie wodociągów, a nadto oświetlenie ulic elektrycznością. W tym celu zwołano na posiedzenie 30 obywateli miasta do sali sesyalnej magistratu. Tam wyjaśniono, że kasa miejska prawdopodobnie nie pokryje znacznych na to wydatków, bo np. wodę może wypadnie rurami sprowadzać z rzeki, odległej o kilka wiorst od Radomia. Otóż sprawę finansową można załatwić drogą zaciągnięcia pożyczki miejskiej, albo udzielenia koncesyi przedsiębiorcom lub przedsiębiorcy na wyłączną eksploatacyę. Kwestyę kanalizacyi w zasadzie rozstrzygnięto. Postanowiono także oświetlić miasto elektrycznością, gdyż dziś nawet zwiększona liczba latarń naftowych nie jest wystarczającą, przytem elektryczność niewiele będzie droższa od oświetlenia naftowego. W końcu uchwalono sporządzić plan regulacyjny miasta, poczem zaś powołać komitet techniczny w celu poczynienia studyów odpowiednich.

PRASA ROSYJSKA.

W *Petersb. Wiedomostiach* czytamy co następuje:

„Ileż osób przeczytało w tych dniach z uczuciem głębokiej ulgi moralnej i zadowolenia, że przymusowe uczęszczanie przez uczniów innych wyznań na nabożeństwa prawosławne (w zakładach naukowych cywilnych) odtąd winno być zaliczane do dziedziny smutnych tradycyj! W zamiarach, wychodzących z wyżyn Tronu, każdy wierny poddany może widzieć wyraźnie, że napotykane dotychczas ciężkie, w następstwach dla młodzieży, nieporozumienia przez Władzę Najwyższą uznane zostały za objaw ujemny, niezgodny z duchem tolerancyi i z prawdziwem usposobieniem naszej Cerkwi. Wymowne milczenie ojczystej *Reptilien-Presse* o wysoko humanitarnem znaczeniu tego rodzaju doniosłego środka, niechęć obznajmienia czytelnika z faktem istnienia takiego Najwyższego rozkazu mimowoli zmusza do myślenia, że „ludzie ciemności i gwałtu“ nie uważają jeszcze sprawy swej za zupełnie straconą. Oni chcą ucisku, ich cieszy oburzenie i nienawiść tych, którzy nie mają możności obrony. Do Petersburga daleko; bezkarność jest zapewniona.

Przed nami leżą listy z kraju Północno-Zachodniego, których my, z oburzenia wobec szpetnych szczegółów, zaszłych dnia 20 sierpnia (1 września) w gimnazyum szawelskiem, nie zdecydowaliśmy się chwilowo ogłosić.

Mówiąc krótko, w owej miejscowości znów gnębili i dręczyli uczniów katolików za to, że nie chcieli być obecnymi na nabożeństwie prawosławnem w sali gimnazyalnej. I stało się to we dwa miesiące po wydaniu Najwyższego rozkazu! Łatwo zrozumieć, co wyprawiali przedtem urzędnicy i pedagodzy.

Kiedyż my, Rosyanie, przestaniemy rumienić się za staro-pogański sposób wprowadzania w życie zasad państwowych w pokrewnych nam kresach słowiańskich?“

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. W ministeryum skarbu powstaje komisya z udziałem biegłych do opracowania przepisów policyi handlowej w celu ukrócenia fałszowania towarów.

— Ministeryum skarbu zatwierdziło ustawę Towarzystwa szerzenia wiadomości handlowych w Moskwie (na wzór petersburskiego). Statut upoważnia tę instytucyę do zakładania szkół handlowych, bibliotek, czytelni, muzeów, urządzania odczytów itd. Towarzystwo to założone zostało przez 122 kupców i przemysłowców.

— Zatwierdzono w Odesie przytułek dla dziewcząt ubogich wyznania katolickiego.

— Ministeryum spraw wewnętrznych upoważniło Kasę im. Mianowskiego do przyjęcia 5,000 rs., ofiarowanych przez pp. Wawelberga i Rotwanda na fundusz wieczysty im. Pawińskiego.

— *Now. Wr.* projektuje, ażeby przy wyborach do instytucyj ziemskich w kraju Zachodnim przyznać Rosyanom szczególne procentowe przywileje.

— Postanowiono założyć kasę pożyczkową dla rzemieślników warszawskich.

— Zebrano fundusz na trzecie Schronienie dla małych dzieci w Warszawie.

— W ministeryum sprawiedliwości odbędą się narady w sprawie zesłań administracyjnych.

Dziwny rygor. *Kuryer Warsz.* donosi, iż zwierzchność niektórych zakładów naukowych wezwała uczniów klas niższych do przedstawienia się w ubiorze całkowitym. Wskutek przeglądu, tym malcom, którzy się stawili w paltotach zimowych, polecono zaopatrzyć się w letnie. Ponieważ jest już czas na ubrania zimowe, więc rodzice chłopców ponieśli znaczny ciężar materyalny, gdyż musieli swych synów zaopatrzyć w palta letnie, które bez użytku będą leżały do wiosny w domu albo w lombardzie.

Szkoły. W Zgierzu p. Marya Dąbrowska otworzyła ochronę dla dzieci robotników fabrycznych.

— W Łodzi otwarta będzie w m. b. szkoła muzyczna. Program obejmuje: grę na fortepianie, teoryę muzyki i śpiewu, naukę śpiewu solowego i zbiorowego.

— W Rydze powstaje 7-klasowa szkoła handlowa.

— Wydział lekarski uniwersytetu w Odesie będzie otwarty w r. p.

— P. P. Szyndler otwiera w Częstochowie szkołę rysunku i malarstwa. Lekcye rozpoczną się 15 października.

— Rezultaty tegorocznych egzaminów konkursowych są następujące: Do Instytutu technologicznego przyjęto z decyzyi ministeryum po nad komplet 63 słuchaczów. Instytut inżenierów cywilnych przyjął w 1895 r. 80 studentów, w r. z. 70, w r. b. tylko 49. W Charkowie do Instytutu technologicznego przyjęto 118, zdało egzamin 284.

— Młodzież płci żeńskiej, pragnąca zdawać egzaminy z wychowania domowego w gimnazyach i szkołach realnych, będzie korzystała z tych udogodnień według przepisów, obowiązujących mężczyzn.

— Przyszły Instytut politechniczny w Odesie obejmie pięć wydziałów: budowy statków, górniczy, mechaniczny, chemiczny i elektrotechniczny.

Zdrowie publiczne. W Mińsku zmarło na dysenteryę w ciągu lata około 800 osób. Po wsiach epidemia była jeszcze sroższa. Obecnie znowu zaczyna grasować.

Teatr. Podczas zimy w miastach Królestwa Polskiego grywać będzie siedem Towarzystw dramatycznych, z których cztery obrały sobie siedliska w gub. Piotrkowskiej: Towarz. p. M. Wołowskiego w Łodzi, Czcsł. Janowskiego w Sosnowicach, Żołopińskiego w Piotrkowie i nowoutworzone pod dyrekcyą p. Puchniewskiego—w Częstochowie. W Lublinie osiedliło się Tow. p. Felińskiego, w Płocku — p. Mareckiego, w Radomiu — p. Majdrowicza.

Wystawy i zjazdy. W r. p. urządzona będzie wystawa międzynarodowa drobnego przemysłu domowego.

— Na zjazd fotografów zapisało się 600 osób; większość amatorów.

Przemysł i handel. Ogłoszono rozkaz Najwyższy o nowem wypuszczeniu obligacyj rządowych Banku włościańskiego w sumie nominalnej 10,000,000 rs.

— Zatwierdzono ustawę normalną towarzystw rolniczych.

— Moneta srebrna 2 i 3-rublowa, która zastąpi banknoty 1 i 3-rublowe, puszczona będzie w obieg w lutym r. p.

— Według *Now. Wr.*, pobyt ministra rolnictwa w Szwecyi zapewnił tam rynek zbytu dla chmielu z państwa rosyjskiego.

— Fabrykanci octu i esencyi octowej w Rydze wnieśli do ministeryum komunikacyi skargę na to, że skutkiem niekorzystnych taryf kolejowych nie mogą współzawodniczyć z fabrykami Królestwa Polskiego na rynkach południowo-rosyjskich. Ministeryum starania fabrykantów ryskich uwzględniło i zniżyło taryfę na przewóz produktów octowych w głąb państwa. Skutkiem tego tutejsze fabryki octu, które głównie produkcyę swoją wysyłały do Rosyi, znalazły się w trudniejszych warunkach zbytu. (*Kur. Warsz.*).

Odpowiedzi Redakcyi.

A. R. Takiego nauczyciela, któryby mógł wykładać stylistykę ogólną i handlową, nie znamy.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 19 Сентября 1897 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8.